

NOWE

POWIEŚCI

dla

DOJRZALSZEJ

MŁODZIEŻY

[illegible]

PRZEZ

Sewerynę z Żochowskich Pruszakową

WARSZAWA

nakładem

G. SENNEWALDA

Ulica Miodowa

NOWE POWIEŚCI

DLA

DOJRZALSZÉJ MŁODZIEŻY.



NOWE POWIEŚCI

DLA

DOJRZALSZÉJ MŁODZIEŻY

przez

Sewerynę z Żochowskich

PRUSZAKOWĄ.

Ozdobione drzeworytami.



WARSZAWA.
NAKŁADEM G. SENNEWALDA
księgarza, przy ulicy Miodowéj Nr. 481.

1868.



Дозволено Цензурою.

Варшава 8 Іюня 1867 г.

W Drukarni Józefa Ungra.

WIECZÓR WIELKANOCNY.

Kwiecień był już na niebie, a jednak śnieg na pół łokcia gruby ciężył jeszcze nad obumarłą ziemią. Od tygodnia wicher z hukiem i świstem dął przenikliwie od zachodu, śnieżna zamieć nie ustawała, dachy i ulice warszawskie pokryte były białym jednostajnym całunem, sanki przekopywały się przez wysokie zaspy śniegu, a chodniki miały postać wąwozów między dwiema śnieżnemi górami: wązka wydeptana ścieszka dozwalała zaledwie minąć się swobodnie przechodzącym.

Warszawa smutną miała postać. Wielkanoc była już zapasem, kilka dni ledwie od niéj dzieliło. Ludność warszawska ubolewała, że niepodobna będzie obchodzić grobów dla śnie-

gu i zamieci. Gospodynie troszczyły się, że wszystko w dwójnasób podrożeje, z Pragą bowiem z powodu słabych lodów na Wiśle przerwane były wszelkie związki, a i z okolicznych wsi wieśniacy i koloniści dla złéj drogi i niepogody małoco dostarczać byli wstanie. Największy jednak smutek, najboleśniejszy zawód panował między szkolną młodzieżą. Ileżto zamiarów oddawna w sercu karmionych zniweczył ten śnieg nieszczęśliwy! Sanna wprawdzie była nie najgorsza: niektórzy więc otuliwszy się w futro po uszy, mogli bezpiecznie puścić się w drogę, a choć który wywrócił i wypadł z sanek, to o miękki śnieg nie połamał kości; ale który mieszkał na prawym brzegu Wisły, musiał rad nierad pożegnać się z myślą spędzenia świąt w rodzicielskim domu. Dla panienek również dotkliwą była ta przygoda: nie wszyscy bowiem rodzice mieli kocze i karety na saniach; nie wszyscy chcieli narażać dzieweczki swoje ua ostry wiatr kwietniowy, pociągi zaś kolei żelaznéj nie szły wcale od dwóch tygodni— a na kołach niepodobna było podróżować.

Połowa zatem młodzieży szkolnéj w niespokojności i trwodze spędzała wielki tydzień. Nadszedł nakoniec Wielki Piątek: śnieg przestał padać, wiatr ustał, słońce przedarło się przez grube jakby ołowiane obłoki, i jasnym promieniem zajrzało w okna kamienic, a w wielu młodych sercach obudziło miłą nadzieję. Zapewniano, że aby tylko dzień jeden przeszedł bez wiatru i śniegu, pociąg pójdzie niewątpliwie do granicy, na wszystkich bowiem punktach drogi żelaznéj tłumy robotników odgarniały zaspy śnieżne. Młodzież więc z kaliskiego i Mazowsza nabrała trochę otuchy: zawiślańcy tylko radzi nieradzi musieli się poddać konieczności. Piątek zszedł na zwiedzaniu grobów, lecz w sobotę wieczorem, przy zbliżającéj się wesołéj pamiątce zmartwychwstania— większy jeszcze smutek opanował biedną młodzież. Liczba smutnych zmniejszyła się wprawdzie, mnóstwo bowiem czerwonych czapek i kołnierzy wysypało się z rana ulicą marszałkowską ku dworcowi kolei, a kilkokrotny poświst lokomotywy był dla wielu hasłem niewypowiedzianego szczęścia.

Pomiędzy panienkami jak zwykle, liczba ofiar nierównie była większą: nie było prawie pensyi w Warszawie, gdzieby łzy nie płynęły strumieniem, gdzieby nie było słychać bolesnych skarg i serdecznych żalów.

W jednym z domów przy ulicy Elektoralnéj, od strony wychodzącéj na obszerne podwórze zakończone ogrodem, w niewielkim pokoju o dwóch oknach, dwie młode panienki trzymając się pod ręce, chodziły po gładkiéj woskowanéj posadzce, i rozmawiały z sobą półgłosem — trzecia przy oknie zajęta była robótką, czwarta zaś siedziała pod piecem na nizkiéj sofce i płakała rzewnie, łkając na cały głos. Zpod cienkiéj batystowéj chusteczki widać było policzki zarumienione i nabrzękłe od płaczu, a włosy jasne w grubych splotach spadały bez ładu na jéj białą szyję i kształtne spadziste ramiona.

— Dajże pokój Bronisiu— zagadnęła jedna z chodzących po pokoju panienek, zatrzymując się na chwilę przed płaczącą — uspokójże się wreszcie— trzeba umiéć pogodzić się z koniecznością.

— Gódźcie wy się same kiedy chcecie i umiécie — odrzekła zagadniona — co do mnie, ja nie mogę. O mój Boże! mój Boże! cóżem ja zawiniła, żeś mnie tak ciężko ukarał. I to mówiąc, głośniejszym niż przed chwilą wybuchnęła jeszcze płaczem.

— Bronisiu — Bronisiu — nie bluźnij próżno Panu Bogu!— rzekła starsza o parę lat towarzyszka, nie wywołuj napróżno Jego kary, bo wierz mi, że są inne daleko nieszczęśliwsze od ciebie.

— Nieszczęśliwsze, przerwała Bronisia z gorzkim uśmiechem — może ty Karolino! wielka rzecz dla ciebie, żeś nie pojechała do domu, gdzieby ci macocha dokuczyła nieraz przez święta. Przyznam się, żebym była na twojém miejscu, wolałabym sto razy zostać na pensyi, niż jechać, choćby nawet śnieg nie zasypał był drogi do Radomia. Ale ja, co mam taką kochaną mamę i tak dobrego ojca, o, to zupełnie co innego!

Karolina westchnęła, łzy zakręciły jéj się w ciemnych oczach długą otoczonych rzęsą,

i potoczyły się zcicha po bladéj i śniadéj nieco twarzy.

— Widzisz, jakaś ty egoistka— rzekła najstarsza ze wszystkich trzech Marya, córka przełożonéj pensyi, panienka wysoka i kształtna, rysów twarży dziwnie miłych i łagodnych; ty Bronisiu czujesz tylko to, co ciebie samą boli, a nie pojmujesz że i drudzy cierpieć mogą, mając stokroć ważniejsze do cierpienia powody. Twoja boleść zniknie jak ten śnieg na dachu, za pierwszym słońca połyskiem, a Karolci sieroctwo nie skończy się do śmierci.

Karolina pochyliła głowę na ramie towarzyszki, otarła oczy chusteczką, i rzekła z głębokiém współczuciem.

— Bóg dobry wynagrodził mi w części sieroctwo, bo mi dozwolił napotkać w życiu takie serce jak twoje, bo mi zesłał opiekę nieocenionéj matki twojéj, która tyle mi łaski okazuje!

— Niewielka sztuka zjednać sobie łaski drugich, kiedy się kto wszystkim pochlebia— mruczała pod nosem zepsuta Bronisia.

— Mówisz bez przekonania Bronisiu, przer-

wała Marya z powagą. Czyżeś kiedykolwiek dostrzegła obłudę w postępowaniu Karoliny? Prawda, że ją nauczyciele i nauczycielki dają za wzór nam wszystkim, ale nic też nad to słuszniejszego: powiedz tylko sumiennie, czy ona nie lepsza i nie pracowitsza od nas wszystkich?

— A choćby była i pracowitsza, to niewielka w tém zasługa — przerwała Bronisława.— Karolina wié, że musi być guwernantką, uczy się więc, bo nauka da jéj chleb i położenie w świecie; co do mnie zaś, wcale nie widzę potrzeby, aby dniem i nocą ślęczyć nad książką i piórem. Umiem po francuzku lepiéj niż po polsku, bom miała bony od pieluch; bylebym się jeszcze nauczyła grać i tańczyć, to mi i dosyć na tém, mama przecież sama najusilniéj mnie o te dwie rzeczy upominała, i zapewne dla nich tylko oddała mnie na pensyą. Co zaś do innych przedmiotów, czego się tu nie douczę, to się osłucham w świecie, wreszcie choćbym i nic nie umiała, to wiem że i tak pójdę za mąż, bo jak wszyscy mówią mi od dzieciństwa, jestem i ładna i bogata.

To mówiąc odgarnęła z czoła jasne włosy, otarła oczy, i dumnie spojrzała na towarzyszki.

— A wiesz-że ty Bronisiu— rzekła z uśmiechem Marya, że majątek to wielki ciężar; aby go udźwignąć godnie, trzeba na to wyższego ukształcenia serca i rozumu. Im wyżéj kogo Opatrzność postawi, tém więcéj oczu zwraca się nań mimowolnie. Wreszcie im więcéj kto ma, tem większy musi zdać rachunek przed Bogiem. Co zaś do wdzięków — te także rzadko kiedy doprowadzą do szczęścia, zwłaszcza jeśli im nie towarzyszy rozum, a nadewszystko dobroć.

— Schowajcie sobie morały dla siebie, ja ich wcale nie potrzebuję — rzekła Bronisia, i znów zasłoniła twarz chustką, wsunęła się w kącik, głowę oparła na piecu i płakała zanosząc się od głośnego łkania. Karolina i Marya chodziły po pokoju rozmawiając z zajęciem.

Mrok tymczasem rozpościerał się zwolna; promień zachodzącego słońca odbity o okna przeciwległéj oficyny, zrazu jaskrawy, bladnął pomału — znikł nakoniec zupełnie — i coraz

większa ciemność ogarniała wszystko dokoła. Siódma godzina wybiła na zegarze, a w oddaleniu odezwał się odgłos dzwonów zwiastujących rezurekcyą.

Drzwi od przyległego pokoju napół uchylone, otworzyły się zwolna, i weszła kobieta w średnim wieku. Rysy jéj twarzy łagodne były i pełne znaczenia, w błękitném oku jaśniała niewypowiedziana słodycz.

— Dobry wieczór dzieci, rzekła z miłym uśmiechem— ułatwiłam się przecież z gospodarskiemi zachodami, do których jak wiecie niebardzom nawykła. Droga matka wszystko ułatwia za mnie, ona jest widomym obrazem Opatrzności w naszém domowém kółku,— pragnęłabym szczerze, aby wyjazd jéj na święta nie dał się wam uczuć. Wy i tak biedaczki, smutnego doznałyście zawodu, to też dzielę wasz smutek, chociaż z drugiéj strony, nie uwierzycie jak mi przyjemnie, że was widzę przy sobie.

To mówiąc uścisnęła serdecznie Karolinę, która ku niéj przystąpiła, poczém usiadła w zwykłém swojém miejscu, na fotelu pod oknem. Była to pani Milecka, przełożona pen-

syi, żona znanego i szanowanego powszechnie rejenta — matka dwóch dorosłych już córek, znanéj nam Maryi i Anieli która wykończała robotę przy stoliku, nie mieszając się wcale do rozmowy.

Bronisia tymczasem siedziała pod piecem i płakała; a lubo od chwili jak pani Milecka weszła do pokoju, łkanie jéj mniéj było głośne, wszakże jeszcze dawało się słyszeć niekiedy.

— Chodź i ty do nas, Bronisiu — rzekła przełożona z niezrównaną słodyczą — Maryniu podaj jéj rękę i wyciągnij ją z kącika.

— Bronisława rada nierada podała rękę Maryi, i z pochyloną głową siadła przy stole obok towarzyszek.

— Moje dziecię — pojmuję że cierpisz, ozwała się pani Milecka, co tém dotkliwsze dla ciebie, żeś cierpieć nie nawykła. Życie dotąd wiło się przed tobą, jakby wianek z kwiatów. Pierwszy to raz podobało się Bogu doświadczyć twojéj cierpliwości, ale wierz mi, że nie ostatni! bo życie choćby najszczęśliwsze, to zawsze ciężka i mozolna droga, pełna ostrych cierni i piołunów.

— O! ja wiem o tém dobrze—wyrzekła zcicha Karolina, i przycisnęła do ust białą rękę pani Mileckiéj. I ja miewałam inne święta, ale te czasy już nie wrócą! Wcześnie przeszła moja swoboda, ze śmiercią matki poczęło się smutne, nieskończone sieroctwo!

— Każdy ma krzyż swój do niesienia, odrzekła pani Milecka, szczerem pociągnięta ku sierocie współczuciem— myślisz, że i ja go nie dźwigałam? O! moje dzieci! i w mojém życiu były walki i cierpienia, a co gorsza, były błędy, ale Bóg ukrzepił mnie i dozwolił wyjść z nich zwycięzko.

Pół do ósméj wybiło na zegarze, pani Milecka powstała.

— No, czas nam do kościoła — rzekła, musimy iść wcześniéj, aby znaleźć kącik u Fary. Jutro mąż mój zaproszony na święcone, przeznaczną część dnia będę sama z wami, opowiem wam też wypadki z moich łat młodych, i mam nadzieję, że ta opowieść nie będzie dla was bez pożytku.

Wszystkie panienki okrążyły panią Milecką i szczerze jéj dziękowały, poczém wybiegły—

ubrały się naprędce — i w jéj towarzystwie poszły na rezurekcyą.

Nazajutrz zrana, po nabożeństwie, pani Milecka z mężem i panienkami weszła do sali jadalnéj, gdzie stał wpośrodku długi stół zastawiony święconem. Wszyscy posilali się wesoło, jedna tylko Bronisia smutna była i zamyślona.

O godzinie pierwszéj pan Milecki odszedł pożegnawszy obecnych, — pani Milecka wezwała wychowanki i córki do swego pokoju, gdzie płonął jasny ogień na kominie: panienki zasiadły wkoło okrągłego stolika— pani Milecka zajęła miejsce wpośrodku — na safianowéj kanapce. Głębokie milczenie panowało w pokoju.

— Przyrzekłam wam wczoraj opowiedzieć moję młodość— rzekła z łagodnym uśmiechem przełożona; niemałe to zadanie! bo któż z nas, spojrzawszy sumiennie w ubiegłe pasmo życia nie chciałby zatrzeć w niém niejednych przykrych wspomnień — tojest śladu błędów własnych. O! bo wierzcie mi, pamięć cierpień, jakie podobało się Bogu dopuścić na nas, nie tak jest bolesną — jak pamięć popełnionych

win: pierwsze zniesione z pokorą, zawsze były szczeblem do udoskonalenia naszego, gdy tymczasem drugie nie raz skłóciły nas z życiem, i zwróciły z drogi wytkniętéj nam od Boga. Ale przystąpmy do rzeczy:

Mała byłam jeszcze, bo nie miałam więcéj jak lat ośm, kiedy Bóg zabrał mi ojca: nie mogłam jednak zwać się zupełnie sierotą, bo miałam najlepszą w świecie matkę, która zostawszy wdową, poświęciła się wyłącznie wychowaniu nas dwojga, mnie i starszego o lat parę brata mego Józefa.

Rodzice od czasu pobrania swego trzymali dzierżawą wieś w Kujawach, o małe pół mili od Wisły. Z początku szło im pomyślnie, ale po sześciu latach najszczęśliwszego pożycia, ojciec mój ciężko zapadł na zapalenie płuc, z czego wywiązały się późniéj suchoty. Tkliwe starania matki nie mogły go ocalić, skonał błogosławiąc nas ze łzami. Po jego śmierci matka gospodarowała jeszcze lat parę, ale podobało się Bogu doświadczać ją niejedną ciężką próbą. Po rozmaitych klęskach postanowiła w końcu porzucić gospodarstwo, zebrać

małe zasoby jakie jéj pozostały, i przenieść się do Warszawy na mieszkanie. Krewni i sąsiedzi chcieli koniecznie odwieść ją od tego zamiaru, przedstawiając że pobyt w mieście narazi ją na znaczne koszta, lecz matka usilnie obstawała przy swojém.

— Nie zostawię dzieciom majątku — mówiła, niechże im przynajmniéj staranne dam wychowanie. Bóg dobry nie opuści sierot.

Nie było co na to odpowiedzieć— po sprzedaży wszelkich ruchomości — z całego mienia rodziców, ocalała zaledwie cząstka matczynego posagu wynosząca około 10,000 złotych. Wszyscy przepowiadali że w parę lat wyczerpie się cały zasób, inaczéj jednakże się stało. Z ulokowanéj na hipotece owéj sumki, matka miała kilkaset złotych procentu, które przy jéj nadzwyczajnéj rządności i pracowitości, wystarczały na skromne utrzymanie. Prawda żeśmy byli ubodzy, ale śmiało powiedzieć mogę nie znaliśmy wcale niedostatku, ani istotnéj nędzy.

Nigdy nie zapomnę owych dwóch maleńkich izdebek na poddaszu, któreśmy zajmowali

przy ulicy Św.-Jerskiéj. Ubogo tam było, ale miło i składnie. Promyk słońca wschodniego rozjaśniał co rano wybielone wapnem ściany; podłoga z prostych desek, czysto zawsze wymyta i zamieciona — piękniéj wyglądała od niejednéj woskowanéj posadzki; w małych czteroszybowych okienkach, osłoniętych białemi firankami z kartonu, wił się bluszcz zielony w długich zwojach, kwitły zawsze miesięczne róże, lewkonie i gwoździki, napełniając mieszkanie świeżą wonią, i nadając mu nawet wśród zimy, jakiś wiosenny urok.

Zajmowałam wraz z matką jeden pokoik, Józef sypiał i uczył się w drugim. Poczciwa Janowa, moja niegdyś piastunka, gotowała nam obiad w jednym piecu jakiśmy mieli. Tak się zręcznie umiała wziąć do rzeczy, przysłoniwszy czynności swoje zielonym parawanem, żeśmy nie doznawali ztąd najmniejszéj niedogodności ani też nieporządku. Prawda, że obiady nasze były skromne — w dnie zwyczajne składały się z rosołu i sztuki mięsa, w post z mleka i kartofli— ale nam przewybornie smakowały

i nigdy myśl o żadnych przysmakach nie przeszła nam nawet przez głowę.

Ubóstwo też nie zostawiło w pamięci mojéj żadnego przykrego wrażenia, bom nie znała dotkliwych jego następstw: głodu, zimna ani choroby. Wszyscy dzięki Bogu byliśmy zdrowi i silni, i gdyby nie tęsknota za ojcem, którą czas nieprędko przytłumił, nigdyby żadna skarga nie wybiegła nawet z ust naszych.

Brat mój chodził do szkoły gimnazyalnéj na Lesznie— mnie Janowa odprowadzała co dzień na pensyą p. W.... i przyprowadzała dwa razy dniem napowrót. Matka tymczasem robiła różne robótki, zamówione do sklepów, co jéj niemałą przynosiło korzyść, gdyż nadzwyczaj była zręczną, i każdą rzecz wykonała dokładnie.

Dobrze nam było razem: święty węzeł miłości rodzinnéj spajał serca nasze, a każde z nas wprzód myślało o przyjemności drugich niż o własnéj. Droga matka pierwsza dawała nam przykład ofiary, poświęcając się dla nas w każdéj chwili; nieraz z sercem ściśniętém uważałam jéj oczy zarumienione skutkiem

zbyt długiego czuwania przy robocie; a zawsze potem następowała jakaś miła niespodzianka: to kolenda na święta Bożego Narodzenia, to wiosną majówka za miasto, to nowe ubranie na lato lub na zimę. Pamiętam jak razu jednego w wigilią, otrzymawszy od matki ciepły wełniany płaszczyk, i merynosową szafirową sukienkę, dziękowałam jéj całém sercem.

— Matko! rzekłam ze łzami — teraz ty się dla mnie tak trudzisz— ty nie dosypiasz w nocy, aby mnie na niczém nie zbywało, a niedługo przyjdzie i na mnie koléj. Za trzy lata skończę nauki szkolne, zostanę nauczycielką, będę pracowała na utrzymanie twoje, i choć w maleńkiéj cząstce wynagrodzę ci te starania, jakie dziś koło mnie podejmujesz.

— Dobrze, dobrze, dziecię moje — odrzekła dobra matka — i uścisnęła mnie serdecznie.

Odtąd przemyśliwałam tylko o nauczycielskim zawodzie. Uczyłam się jak mogłam najlepiéj, dopomagałam nawet młodszym od siebie towarzyszkom, aby się pomału zaprawiać do przyszłych obowiązków.

Upływały dnie, tygodnie i miesiące, jakby

woda w strumieniu; ubiegły nakoniec i trzy lata, anim się spostrzegła kiedy po odbytym ostatnim egzaminie powróciłam na czas jakiś do matki. Pani W... tymczasem, przyrzekła wystarać się dla mnie o dobre miejsce, skoro się tylko okoliczność nadarzy.

Jakoż niedługo potem odebrała list od kasztelanica *** z Łomżyńskiego, wdowca podeszłego już w latach, który prosił ją o wynalezienie nauczycielki dla jedynéj córki jego. Dom kasztelanica odpowiadał napozór wszelkim warunkom: mieszkała z nim razem siostra jego niezamężna, panna Salomea, która utrzymywała rządy domowe. Kasztelanic znany był jako człowiek surowych zasad, mówiono o nim że dziwak, odludek i arystokrata, ale któż na świecie nie ma słabéj strony! Pani W... wezwała mnie wraz z matką, przedstawiła nam wszystko, i radziła żeby nie opuszczać tak pomyślnéj okoliczności.

Przystałam bez wahania, i tegoż samego dnia odebrałam z rąk pani W... kwartalną pensyą, zaliczoną mi z góry.

— Moje dziecię — rzekła ta zacna opiekun-

ka, ściskając mnie z uczuciem — nie wyobrażaj sobie, że napotkasz same kwiaty na téj drodze, ale uzbrój się w cierpliwość, proś Boga, a on ci dopomoże do spełnienia mozolnego lecz pięknego zawodu.

Podziękowałam jéj szczerze i odeszłam z matką. Dziwny smutek ścisnął nam serce, na myśl o tak rychłém rozłączeniu. I dobry Józio przyjął ze łzami tę wiadomość. Wprawdzie od kilku lat marzyłam ja o zawodzie nauczycielskim, lecz nigdy nie przewidywałam wszystkich jego następstw: teraz dopiéro rzeczywistość stanęła mi przed oczyma; usiłowałam jednak zdobyć się na odwagę. Kochana matka taiła także jak mogła wewnętrzny niepokój, aby mnie napróżno nie rozżalać.

Nazajutrz zajęłyśmy się obie skromną moją wyprawką. Za cztery tygodnie, stosownie do umowy z kasztelanicem, miałam wyjechać w drogę, nie było więc czasu do stracenia.

Nadszedł niebawem dzień odjazdu. Byłto piękny dzień październikowy, słońce przyświecało jasnym promieniem, jakby żegnało ziemię, z którą na długo rozdzielić je miały słoty

i mgły zimowe. Z rana poszłam z matką, bratem i poczciwą Janową do Fary, gdzieśmy wysłuchali mszy świętéj przed cudownym wizerunkiem Ukrzyżowanego Chrystusa. Wraz z modlitwą odwaga wpłynęła w serce moje. Idąc z kościoła wstąpiłyśmy na chwilę do pani W..., która pobłogosławiła mnie ze łzami, zachęcając do wytrwania.

Matka moja żaliła się bardzo na to, że muszę sama odbywać drogę kuryerką.

— Mógłby też był pan kasztelanic przysłać powóz po Joasię— rzekła do pani W...— gdyby nie dla czego innego, to przez wzgląd na jéj wiek i niedoświadczenie.

— Mógłby zapewne — odparła pani W..., ale mówiłam pani, że on dziwak. Wreszcie przywykł podróżować za granicą, gdzie wszyscy jeżdżą kuryerkami. Pierwsza to próba moja Joasiu— dodała zwracając się do mnie: czyń zawsze dla drugich co możesz, ale nie wymagaj od nich wiele— inaczéj doznałabyś nieraz smutnego zawodu. Umiéj tylko w każdéj chwili zachować godność prawdziwą, a nic cię upokorzyć nie zdoła.

Około piątéj nad wieczorem poszliśmy wszyscy na pocztę. Serce gwałtownie mi uderzyło na widok zaprzężonéj kuryerki. Józio i Janowa zajęli się pakowaniem rzeczy, ja z matką usiadłam na ławce. Milczałyśmy obie, niepodobna było nam mówić bez łez, a nie chciałyśmy próżno zaciekawiać niemi obcych ludzi. Nakoniec pocztylion zatrąbił, podróżni cisnąć się tłumnie zaczęli. Ucałowałam ręce matki, pożegnałam Józia i Janową, i wsparta na brata ramieniu, wsiadłam po wysokich stopniach do kuryerki, i zajęłam przeznaczone mi miejsce.

— Bądź spokojna Joasiu— szepnął mi Józio do ucha, ja czuwać będę nad matką, tak samo jak ty nad nią czuwałaś. A poczekaj tylko, niech ukończę szkoły i wezmę się do pracy, wtedy nie będziesz potrzebowała tak się dla nas mozolić.

Nie odrzekłam nic, uścisnęłam tylko rękę drogiego brata. Konie ruszyły — matka skreśliła krzyżyk w powietrzu, i kuryerka z głośnym turkotem potoczyła się po warszawskim bruku. W mgnieniu oka skręciliśmy w ulicę Bednarską, i stanęli przy moście. Spuściłam

gęstą woalkę, aby ukryć łzy, które gwałtem cisnęły się do oczu moich. Widok Wisły szczególniéj mi był bolesny, gdym się ujrzała na prawym jéj brzegu, zdawało mi się że mnie od matki i brata, jakaś nieprzebyta dzieli otchłań. Szczęściem że pomrok zapadał coraz grubszy, mogłam więc płakać swobodnie, co przyniosło niejaką ulgę sercu mojemu.

Usnęłam nakoniec zmęczona długim płaczem, i dospałam bez przerwy do rana. Oj smutneż to było obudzenie! Zapomniałam zupełnie gdzie jestem; skutkiem nawyknienia chciałam coś przemówić do matki, ale spostrzegłam się w samą porę. Przetarłam znużone oczy, wyjrzałam oknem, lecz widok pustéj i piasczystéj okolicy wcale mnie nie rozweselił. Wszystkie twarze wkoło mnie obce były i obojętne; cierpienie moje nikogo nie obchodziło, nikt na nic bynajmniéj nie zważał. Przywykła do troskliwéj opieki macierzyńskiéj, nie mogłam pojąć tak zupełnego osamotnienia. Widok krzyża przy drodze zwrócił dopiéro myśl moję do tego, który jest ojcem i opiekunem sierot. Zmó-

wiłam ranne modlitwy i po nich uczułam się swobodniejszą.

Około południa otworzyłam torebkę podróżną, i nie mogłam bez łez patrzeć na rozmaite zapasy, w jakie zaopatrzyła mnie droga matka, z poczciwą Janową. Posiliłam się cokolwiek i cierpliwie oczekiwałam końca podróży. Około godziny ósméj wieczorem przybyliśmy wreszcie na stacyą pocztową, na któréj wysiąść miałam. Zapytałam o konie z Piasków, tak się zwała wieś kasztelanica — odpowiedziano mi, że wcale nie nadeszły. Sama nie wiedziałam jak sobie radzić; chciałam już wziąć bryczkę pocztową, i jechać na miejsce przeznaczenia mego, ale jak na przekorę, wicher zerwał się przed wieczorem i deszcz zaczął padać na dobre.

Namyślałam się właśnie co czynić. Gdy nagle zaturkotało coś na bruku, wyjrzałam przez okno i spostrzegłam zatrzymujący się powóz. W chwilkę potém służący wszedł do pokoju i uwiadomił mnie o nadejściu koni z Piasków. Zabrałam się natychmiast i wyruszyłam w drogę.

W godzinę potem, widok chat wiejskich oświeconych blaskiem płomienia przy którym gospodynie przędły kądziel i gotowały wieczerzę, przekonał mnie że jestem w obszernéj wsi. Wkrótce powóz skręcił w opłotki; wychyliłam głowę i ujrzałam wielki dworzec murowany z wystawą o trzech oknach na piętrze. Ciemno w nim było, choć dopiero wybiła dziesiąta. Kredencerz z latarką wyszedł na ganek, i przez wschody i długi korytarz, zaprowadził mnie do obszernego pokoju. W chwilę potem drzwi się otworzyły i ukazała się w nich kobieta około pięćdziesięcioletnia, niezbyt miłéj powierzchowności. Byłato Barbara, stara sługa, przeznaczona dla mnię do usług.

— Pan kasztelanic już poszedł do swego pokoju, równie jak i panna Salomea, rzekła Barbara chrapliwym głosem. Jeżeli pani życzy sobie herbaty lub wieczerzy, przyniosę tu natychmiast.

— Dziękuję odrzekłam— nie jestem głodna pragnę tylko spoczynku.

— Może panią rozebrać, zapytała?

— Zwykle rozbieram się sama — odparłam,

chcąc jak najprędzéj pozbyć się natrętnego towarzystwa.

Barbara odeszła: pobiegłam do drzwi czemprędzéj, zakręciłam klucz we drzwiach. Poraz pierwszy od chwili pożegnania z matką i bratem, widząc się samą bez świadka, rzuciłam się na sofkę i zaczęłam gorzko płakać. Wkońcu jednak przebrało się łez, powstałam i rzuciłam wkoło siebie oczyma. Smutnyż to był ten pokój! ściany pokryte starém obiciem, malowaném w mitologiczne postacie, ponuro i dziwnie wyglądały. Na jednéj zpoza wypłowiałych krzaków róż, koło których sielankowe pasterki pasły owce, wychyliła się postać satyra, z rogami i kozią brodą. W oknach były adamaszkowe czerwone firanki, niegdyś paradne, dziś brudne i spłowiałe. Sprzęty owego obszernego pokoju składały się: z kilku starych krzeseł wybitych zarówno starym adamaszkiem, z wielkiego stołu wpośrodku, z szafy, komody i dwóch łóżek. Wielki zegar ścienny, zamknięty w wązkiéj a wysokiéj szafce, chrapliwie wybijał kwadranse i godziny.

Jakże odmiennym był nasz mały pokoik na

poddaszu przy ulicy Święto Jerskiéj! Tam ubogo było i skromnie, ale ciepła atmosfera powiewała dokoła i nadawała wszystkiemu niepojęty urok; gdy tu przeciwnie, dziwny chłód nawskróś przejmował serce.

Otworzywszy do podróżnego mego kuferka, spostrzegłam na samym wierzchu obrazek Naj. Maryi Panny Częstochowskiéj, który dobra matka włożyła tam własną ręką.

Obrazek ten od lat dziecinnych nie odstępował mnie nigdy, wisiał on najprzód nad kolebką, potém nad łóżkiem mojém. Przed nim zwykłam się byłam modlić rano i wieczór — jego téż widok rozrzewnił mnie do łez. Oparłam go o ścianę, i patrząc nań z głębokiém przejęciem, zmówiłam wieczorny pacierz, poczém udałam się na spoczynek. Północ wybiła — a ja lubo znużona podróżą, zasnąć jednakże nie mogłam. Nakoniec głód dał mi się uczuć dotkliwie; wprawdzie zapasy matki byłyby mi wystarczyły na długo, ale widząc że podróż moja zbliża się do kresu, rozdałam je wszystkie na stacyi pocztowéj wiejskim dziateczkom, które się zbiegły na widok przybywającéj kuryerki.

Szczęściem że mi pozostała przypadkiem ostatnia bułeczka, którą odkryłam z radością w torebce. Posiliwszy się nią, zasnęłam w końcu, i wybornie spałam do rana.

Nazajutrz ledwie żem się zdążyła ubrać, panna Salomea, z angielskim wyżełkiem na ręku i dwoma koło siebie, weszła do pokoju mego. Powitanie jéj zimne było i ceremonialne. Była to osoba przeszło pięćdziesięcioletnia, przywiązana jedynie do swoich psów, kotów i kanarków, których miała wielką liczbę. Zdaje się że takie skierowanie władz serca, pochłonęło je całkiem, nie zostawiając w niém miejsca innym zacniejszym uczuciom; panna Salomea bowiem mało dbała o ludzi i nie starała się także o ich względy.

— Przyszłam uprzedzić, rzekła po pierwszém powitaniu, że śniadanie u nas o dziewiątéj, obiad o drugiéj, a herbata z wieczerzą o siódméj wieczorem. Brat mój lubi bardzo punktualność, i niezwykł nigdy czekać na nikogo. Dziewiąta właśnie dochodzi— może zejdziemy na dół. I nie czekając na odpowiedź, panna Salomea zawołała na pieski, i poszła naprzód

wskazując mi drogę. Weszliśmy do jadalnéj sali — pan kasztelanic wstał z krzesła, postąpił do mnie parę kroków i ukłonił się z dworską, zimną grzecznością.

— Przepraszam acannę dobrodziejkę, że nie zastała na poczcie koni— rzekł z przyciskiem, wina w tém ludzi moich, iż nie opatrzyli powozu i zepsuł im się w drodze.

— Niedługo czekałam — odparłam drżącym głosem, bo dziwna trwoga przejęła mnie na widok téj żółtéj jakby pargaminowéj postaci, z włosami zaczesanemi ku górze dla pokrycia łysiny, i podpiętemi ztyłu szerokim grzebykiem szyldkretowym. Kasztelanic wziął za rękę dziewczynkę dwunastoletnią, która siedziała przy stole ponura i zasępiona.

— Oto moja córka Kornelia, rzekł—przyszła uczennica acanny dobrodziejki. Powierzam ją w jéj ręce, na zaręczenie pani W..., którą wysoko poważam, proszę ją wychować poprostu, na kobietę praktyczną, a nadewszystko nieegzaltowaną, dodał z przyciskiem, bo wszelkie przesady na nic się w życiu nie zdadzą. Niech moja córka nie marzy o ideałach, ale niech



Kasztelanic ukłonił się z dworską zimną grzecznością.

umie zająć w świecie, jakie jéj nadaje urodzenie i majątek: oto wszystko, czego żądam. Bez wysokich nauk może się obejść, bo uczoność nie jest rzeczą kobiety. Powierzam ją acannie dobr. pod wyłączny jéj dozór, i proszę ją usilnie, aby się wniczém do mnie nie odwoływała. Pragnę spokojności i ciszy, i lubię, aby mi nic nie przerywało zwykłego trybu życia. Oto jest plan nauk, i rozkład wszystkich godzin dziennych — dodał oddając mi papier. Spodziewam się że acanna dobr. poznawszy raz życzenia moje, nie zechcesz wniczém od nich odstępować.

— Będzie usilném mojém staraniem odpowiedzieć zaufaniu, jakie pan we mnie pokłada, odrzekłam, jakby sparaliżowana tém ceremonialném obejściem.

Kasztelanic wskazał mi krzesło, usiadłam obok Kornelki i wypiłam filiżankę kawy, którą panna Salomea przedemną postawiła.

Objęłam okiem Kornelkę, i niemiłego doznałam wrażenia. Byłato dziewczynka chuda, żółta i śniada. Na twarzy jéj nie było śladu najlżejszego rumieńca, w oku żadnéj swobody.

Rysy jéj nie były właściwie brzydkie, ale wyraz posępny pozbawiał je wszelkiego wdzięku.

Po śniadaniu kasztelanic powstał, panna Salomea zajęła się karmieniem psów i kotów; co do mnie, skinęłam na Kornelkę, i poszłam z nią na górę. Z krótkiego egzaminu przekonałam się, że nic prawie nie umiała, mimo, że było przedemną pięć czy sześć guwernantek. Zadrżałam dowiedziawszy się o tak wielkiéj liczbie poprzedniczek moich— widziałam w tém dla siebie niezbyt pomyślną wróżbę.

Albo same nie mogły tu wytrzymać, pomyślałam, albo też nie mogły zadosyć uczynić zbytecznym wymaganiom. W każdym razie, nie mam się z czego cieszyć!

Przeczucia wcale mnie nie zawiodły. Odtąd rozpoczął się dla mnie szereg dni długich i jednostajnych. Nie śmiałam wniczem odstąpić od planu wytkniętego mi wyraźną wolą ojca. Boleśnie dręczyło mnie to, że jestem prostą machiną, działającą według cudzéj myśli, posłuszną uderzeniom, nie serca, ale zimnego zegaru.

Długo nie mogłam nawyknąć do tego stanu

rzeczy. Listy matki i Józia jedyną mi były pociechą w przykrém osamotnieniu. Co do mnie, nie śmiałam pisać otwarcie; czułam bowiem ileby cierpiała biedna matka, gdyby znała dokładnie położenie moje. Wreszcie, nie miałam się na co uskarżać. Cierpienia moje jakkolwiek dotkliwe, były z rodzaju tych, których wypowiedzieć niepodobna. Kasztelanic był nadzwyczaj grzeczny, równie jak i panna Salomea; Kornelka słuchała mnie we wszystkiém; ale w téj pozornéj grzeczności, i w tém niby posłuszeństwie, był jakiś chłód nieprzezwyciężony, który oddziaływał i na mnie i ścinał lodem biedne serce moje. Nie widząc innéj rady, poddałam się z rezygnacyą konieczności, i spychałam dzień za dniem, wpadłszy w jakieś chorobliwe odrętwienie.

Przeszła zima: ciepły promień wiosenny przebił mętne obłoki, zazielenił lasy i pola, ale w duszy mojéj szaro było i chłodno, tak jak w grudniu. Położenie moje stawało się nawet coraz przykrzejsze: Kornelka bowiem niewiele korzystała z nauk, a mimo pozornego posłuszeństwa, tajemny opór wzrastał w niéj

z dniem każdym. Dusza jéj zdawała się zamkniętą na wszelkie uczucie, i nieraz spostrzegałam szyderczy uśmiech na jéj ustach, w chwili gdy mnie do największéj doprowadziła niecierpliwości.

Z wiosną rozpoczęły się codzienne przechadzki nasze. Kasztelanic bowiem widząc wątłe zdrowie córki, żądał, abym codzień w południe chodziła z nią do lasu, gdzieby stosownie do rady doktora, mogła oddychać zdrową żywiczną wonią. Upadałam niekiedy od znużenia wciągu tych przykrych przechadzek; Kornelka widząc to, przyspieszała jeszcze kroku i nie dała mi spocząć na chwilę, zasłaniając się zawsze wolą ojca. Nauka tymczasem szła coraz gorzéj. Nie mogąc pokonać w żaden sposób złéj woli i lenistwa dziewczynki, poskarżyłam się wkońcu przed kasztelanicem, który zimno przyjął moję skargę.

— Oddałem acannie dobr. wszelką władzę nad moją córką, odrzekł przyciskając na każdém słowie; położyłem za pierwszy warunek moję własną spokojność. Proszę więc radzić

sobie jak można, a mnie nie obarczać głowy daremnemi żalami.

Odeszłam boleśnie dotknięta, i od téj chwili zaczęłam przemyślać szczerze nad uwolnieniem się od niemiłych obowiązków, z których źle się wywiązywałam, w własném przekonaniu. Nowa a przykra okoliczność bardziéj mnie jeszcze utwierdziła w tym zamiarze.

Pamiętam, było to w czerwcu, upał dochodził dwudziestu stopni. W samo południe wyszłam jak zwykle z Kornelką na przechadzkę. Idąc przez wieś koło karczmy, spostrzegłam zaprzężony powóz, a przy nim dwie podróżne panie. Młodsza z nich ujrzawszy mnie zdaleka, przybiegła co żywo i rzuciła się w moje objęcia.

— Tyżeś to Julko?— zawołałam zdziwiona poznając w niéj szkolną towarzyszkę, z którą przez kilka lat żyłam w serdecznéj przyjaźni. Cóż ty tu porabiasz w tych stronach?

— Jadę z ciocią do krewnych, którzy mieszkają ztąd o cztery mile. Właśnie zajechałyśmy tu na popas. Ciocia odpocznie sobie tymczasem, a ja pójdę z tobą i nagadamy się do-

woli. Ale gdzież to idziesz w taki okropny upał?

— Wytłumaczyłam Julci życzenia kasztelanica. Mimo że znużona podróżą, poszła z nami do lasu. Kornelka na przekorę szła tuż przy boku moim, nie chcąc nas ani na chwilę opuścić.

— Pobiegaj sobie naprzód, moja panieneczko — rzekła Julia — patrz ile tam bławatków w pszenicy: może zechcesz uwić piękną koronę?

— Panna Joanna nie pozwala mi się oddalać od siebie, muszę jéj być posłuszną — odparła dziewczynka ponuro.

— Ależ zaręczam, że Joasia nie znajdzie nic przeciw temu — przerwała Julia — nieprawdaż?

— Panna Joanna — odrzekła Kornelka — nie może pozwalać na to dziś, czego zabraniała mi wczoraj.

Przyznam się, że nie miałam co odpowiedzieć na tak loiczne rozumowanie.

Julia spojrzała na mnie z litością, podnosząc ramiona w górę; nie uszło to badawczego wzroku Kornelki.

Lubo rozmawiałyśmy półgłosem wobec natrętnego świadka, a jednak szczerze byłam rada z tego spotkania. Julia wesoła była i żywa z natury, i niełatwo co zbijało ją z tropu. Opowiadała mi więc z całą swobodą swoje zimowe zabawy, i tworzyła piękne projekta na przyszłość. Zanadto ją kochałam, aby jéj zazdrościć, wreszcie zazdrość daleką była od mego usposobienia, a jednak serce moje ścisnęło się boleśnie, i myślałam z goryczą: dlaczego mnie tak Bóg wydziedziczył z wszelkich warunków szczęścia i skazał młodość moję na ciągłą tęsknotę, gdy innym drogę życia zasiał tylu kwiatami!

Grzeszne to były myśli, moje dzieci, mówiła pani Milecka, zawieszając na chwilę opowiadanie; bo człowiek nie ma prawa wybierać sobie ścieszki, ale powinien chętném sercem przyjąć tę, jaką mu Bóg przeznaczył. Co do mnie, nie miałam w sobie owéj dobréj woli. Poddałam z rezygnacyą głowę pod codzienne próby, ale nie umiałam cierpieć w weselu ducha, czego wymaga koniecznie wyższe udoskonalenie chrześcijańskie.

Przechadzka z Julią przeciągnęła się długo. Pod urokiem jéj miłéj rozmowy, zapomniałam skwarnych promieni słońca, i nie zważałam kiedy zeszło z południa, i zwróciło się w stronę zachodu. Spojrzałam wreszcie na zegarek, i serce uderzyło mi silnie, widząc że skazówka znaczy godzinę drugą.

— Co ja zrobię?— zawołałam przerażona — oto właśnie obiadowa godzina, a my zapuściłyśmy się tak daleko od domu.

— No i cóż w tém wielkiego—odrzekła śmiejąc się Julia — sądzę przecie, że zaczekają na ciebie.

Co do mnie, byłabym się chętnie wyrzekła obiadu, lękałam się tylko grzecznych a dotkliwych przycinków kasztelanica.

Przyspieszyłyśmy kroku, i wpół godziny potem zmęczone i zdyszane wchodziłyśmy na ganek. Julia nam towarzyszyła. W sieni spotkał nas kredencerz, oświadczając że już po obiedzie; i zapytując czy chcę aby mi przyniesiono obiad do pokoju. Gotowa byłam odmówić, ale Julia skinęła na mnie, prosiłam więc aby

cośkolwiek podano. Kornelka pobiegła tymczasem do ojca.

Zaprowadziłam Julią na górę, szczęśliwa, że mogę choć chwilkę pomówić z nią bez świadków.

— Przyznam się że ci nie zazdroszczę przyjemności w tym domu—rzekła zdejmując kapelusz, i poprawiając włosy przed zwierciadłem. Jakaż to nieznośna dziewczyna z téj twojéj wychowanki, a i ojciec dziwak, jak widzę. Czyż się godzi nie zatrzymać pół godziny z obiadem!

Broniłam ich jak mogłam; czułam się bowiem w obowiązku pokrywać słabą stronę tych, z któremi złączona byłam tak blisko. Julia sławiła moję wspaniałomyślność, lecz mi wcale wierzyć nie chciała.

Przyniesiono obiad, podzieliłam go chętnie z Julią. W pół godziny potem, skoro wybiła trzecia, Kornelka przybiegła na górę, przypominając mi zwykłą o téj godzinie lekcyą muzyki. Julia zabrała się, uścisnęła mnie tkliwie, i przyrzekła wstąpić za powrotem.

Przed wieczorem, gdym zeszła na herbatę, kasztelanic zaprowadził mnie do okna, i ze

zwykłą mu zimną i ceremonialną grzecznością, prosił abym na drugi raz była uważniejszą, i przedłużając zbytecznie przechadzkę, nie narażała córki jego na ból głowy, a w domu nie sprawiała próżnego zamieszania.

Sama już nie wiem, com na to odpowiedziała, pamiętam tylko że całą noc strawiłam bezsennie. Obraz Julci szczęśliwéj i swobodnéj, ścigał mnie bez ustanku. Gdy Kornelka zasnęła, usiadłam w otwartém oknie, aby ochłodzić głowę płonącą. Ptaszęta śpiewały w zaroślach swoje nocne piosenki; o! jakżem im zazdrościła! jakżebym pragnęła mieć skrzydła i ulecieć w świat szeroki, z murów więzienia mego!

Parę dni następnych upłynęło spokojnie; nadszedł wreszcie dzień, w którym Julia przyrzekła mnie odwiedzić znowu za powrotem. Z bijącém sercem śledziłam najmniejszy ruch na dziedzińcu. Dzień przeszedł, lecz ona nie przybyła; sama nie pojmowałam co to znaczy, gdy otrzymany list tegoż wieczora, wyjaśnił mi całą zagadkę. Zastałam go na stoliku, powróciwszy do siebie po wieczerzy.

Moja droga Joasiu! — pisała Julia — kiedy odbierzesz ten bilecik, będę już ztąd daleko. Myślisz zapewne żem nie dotrzymała słowa, przeciwnie! Ależ posłuchaj co się stało.

Gdyśmy z ciotką przybyły tu na popas, o godzinie dziesiątéj zrana, pospieszyłam natychmiast do dworu, a raczéj do więzienia twego. Stary kredencerz przyjął mnie w sieni z kwaśną miną, oświadczając niezbyt grzecznie, że jesteś przy lekcyi i pod żadnym pozorem nie możesz mnie przyjąć w téj chwili. Daremnie nalegałam, zapewniając, że mam tylko pomówić z tobą parę słów; on obstawał usilnie przy swojém. Ale niedosyć na tém. Znasz mię dobrze i wiesz, że jak sobie co w głowie ułożę, niełatwo mnie zbić z tropu; otóż mimo oporu pana kamerdynera, skierowałam się ku znanym mi już wschodom, gdy nagle drzwi się z boku otworzyły i postać podobniejsza do widma, niźli do żyjącéj istoty, ukazała się oczom moim. Zadrżałam na widok téj pargaminowéj cery, i tych zagasłych oczu; stanęłam jak wryta.

— Co acanna dobr. masz mi do rozkazania? zagadnął kasztelanic z przyciskiem, kłaniając się głęboko.

— Chciałam widzieć pannę Joannę, moję towarzyszkę szkolną— odrzekłam nieśmiało.

— Przebacz mi acanna dobr.—odrzekł—że zmuszony jestem odmówić. Panna Joanna zajęta w téj chwili z moją córką, i będzie dopiero wolną o pierwszéj. Jeżeli acanna dobr. życzysz sobie tymczasem zaczekać w sali, bardzo proszę.

— O to zadługo—odrzekłam—ciotka czeka na mnie w oberży, za godzinę wyjeżdżamy ztąd, skoro tylko konie popasą.

— W takim razie, bardzo mi przykro—odparł z głębokim pokłonem kasztelanic—ale muszę być wiernym méj zasadzie. Gdybym raz tylko od niéj odstąpił, jużbym nigdy nie trafił do ładu.

Sama nie wiedziałam co powiedzieć: obecność kasztelanica odebrała mi wszelką przytomność umysłu. O Joasiu droga! — uciekaj coprędzéj z tego domu, a raczéj z tego cmentarza, zaludnionego grobowemi widmami! Na twojém

miejscu nie wytrwałabym tu ani godziny. Uciekaj póki czas, bo inaczéj zgnilizna grobowa ozionie i ciebie. Już i tak zmieniłaś się do niepoznania: oczy zapadły ci wgłąb, rumieniec zagasł na twych licach, jakby ci z lat dziesięć przybyło, a co gorsza, dawna swoboda i wesołość opuściły cię zupełnie, i pojmuję to, zwłaszcza odkąd zobaczyłam kasztelanica.

Żegnam cię kochanko, mam nadzieję że się wkrótce zobaczymy w Warszawie, skoro opuścisz ten kraj umarłych.

Co się działo ze mną po przeczytaniu tego listu, nie potrafię wam opowiedzieć. Oburzona byłam za zniewagę wyrządzoną Julii, wstyd mi było zależności mojéj. Przez całą noc nie zmrużyłam też oka, i dziwne myśli plątały się w méj głowie. Napisałam do matki długi list, w którym wyjaśniłam jéj całe położenie moje: miałam go wyprawić na pocztę nazajutrz. Zrzuciwszy z serca ciężar, uczułam nieco ulgi; ale po chwili chłodniejszego namysłu, podarłam list, i umyśliłam zostać.

Miejsce w domu kasztelanica, nader było korzystne, co do mnie byłabym chętnie po-

przestała na trzeciéj części pensyi, byleby żyć w innych warunkach, lecz myśl o matce któréj byłam pomocą, dodała mi odwagi. Ona przez tyle lat mozoliła się dla mnie, pomyślałam— ona się narażała na tyle niewygód i niewywczasów, aby mnie starannie wychować, a ja mamże uciec przed pierwszém cierpieniem, jak żołnierz z pierwszego pola bitwy? O nie! trzeba koniecznie wytrwać, mówiłam w duchu; prawda, że krzyż mój ciężki, ale i barki silne, potrzeba się poddać i cierpieć!

— O droga pani, zawołała z uczuciem Karolina całując rękę zacnéj przełożonéj, jakże godną podziwienia twa wytrwałość!

— Moje dziecię — odrzekła pani Milecka, niesłuszne twoje pochwały, wówczas nie zasłużyłam na nie! Okazałam wytrwałość zapewne, gotowa byłam poddać barki pod ciężar krzyża, ale niedosyć natém! W sercu mojém była gorycz i niechęć; nie było pobłażania; wyrobiłam w sobie rezygnacyą, a nie wyrobiłam miłości, która lekkim czyni wszelki ciężar i daje nam prawdziwą swobodę, niezależną od warunków położenia naszego.

Ale Opatrzność chciała mnie podźwignąć z tego stanu biernego, a wprowadzić na pole działania, i w tym celu nowe zesłała mi próby. O! bo wierzcie mi, jak stal hartuje się pod młotem, tak serce wyrabia się pod chłostą cierpienia. Na krótki czas wprzód zamieszkał w poblizkiém miasteczku stary doktór, dawny towarzysz szkolny kasztelanica. Przyjeżdżał on często do Piasków, zwłaszcza odkąd zdrowie Kornelki wymagało większych starań. Odwiedziny te były dla mnie nieznośne, nie żeby doktór był człowiekiem złym lub niemiłym, bo mu tego nikt zarzucić nie mógł, ale że w sercu mojém zebrało się tyle goryczy, iż na wszystkich patrzałam z podejrzliwą niechęcią. W każdém najniewinniejszém słowie jakie kto wyrzekł, widziałam ukrytą przymówkę, i drażliwość moja wzmagała się z dniem każdym. Spostrzegł to usposobienie doktór: postanowił też zbadać dokładnie mój charakter, i zajrzéć głęboko w tajniki serca mego. Aby dojść do tego celu, drażnił mnie bezustannie. Chciał mnie wszelką siłą doprowadzić do gniewu, ja zaś zamykałam się pogardliwie w zimnéj obojętności.

Jednego wieczora podczas gdyśmy siedzieli pod wystawą od strony ogrodu, doktór zaczął rozprawiać o wychowaniu dziewcząt, tak w ogólności zaniedbaném i nieopartém na żadnéj gruntownéj podstawie. Co do mnie, milczałam nie odwracając oczu z roboty, którą trzymałam w ręku.

Kiedyśmy wpadli na ten przedmiot, rzekł kasztelanic, chciałem cię właśnie prosić mój doktorze, abyś chciał wyegzaminować Kornelkę. Za kilka dni chciéj przystąpić do tego, a będę ci mocno obowiązany. Myślę, że acanna dobr. nie weźmiesz mi za złe — dodał zwracając się ku mnie z zimną jak zwykle grzecznością.

— Bynajmniéj—odrzekłam. Nauki Kornelki postępują według wskazanego mi planu i wybranych książek. Ja z mojéj strony odkąd tu jestem, nie opuściłam ani jednéj godziny; jeżeli więc plan dobry i książki właściwe, Kornelka musiała coś skorzystać.

— O! to niedosyć jeszcze — odparł doktór zmrużywszy jedno oko, a drugiém patrząc na mnie w dziwnie badawczy sposób. — Ale zoba-

czymy zaraz; myślę że lepiéj przystąpić odrazu do rzeczy, bo te przygotowane egzamina nie na wiele się zdadzą.

— Kiedy tak, to ja się usunę, rzekł kasztelanic, i ty pójdź siostro dodał zwracając się do panny Salomei, obecność nasza może jéj odebrać odwagę.

— Zawołałam na Kornelkę, która siedziała nieco opodal pod drzewem z robotą w ręku. Przyszła jak zwykle pochmurzona. Doktór zadawał jéj pytania z historyi, geografii i innych nauk, ale uparta dziewczynka zacięła się i wcale mówić nie chciała, lub też odpowiadała przewrotnie.' Za każdą odpowiedzią, doktór spoglądał na mnie jedném okiem, jakby mnie czynił odpowiedzialną za jéj upór lub nieumiejętność.

Starałam się wszelką siłą zachować zimną powagę, ale cierpliwość moja wyczerpała się całkiem. Krew biła mi do głowy, a chłodny dreszcz nawskróś mnie przejmował.

Próba poszła jak najgorzéj: Kornelka coraz mniéj chciała mówić, kręciła tylko palcami

róg fartuszka, patrząc w ziemię wzrokiem zasępionym.

— Masz wiele jeszcze rzeczy do nauki moje dziecię—rzekł doktór— więcéj aniżeli czasu przed sobą.

Kornelka odeszła ze łzami w oczach.

— Czy już koniec na tém? zapytałam żywo— może pan zechce i mnie wziąć na egzamin. W takim razie gotowa jestem mu służyć.

— O! ja nie wątpię wcale o *umiejętności* pani—odrzekł przyciskając na tym wyrazie—powątpiewam tylko o jéj *dobréj woli*—dodał z wyraźném znaczeniem.

Nie odrzekłam na to ani słowa;—zacisnęłam tylko zęby i stłumiłam łzy dobywające się gwałtem z oczu moich. Uwaga doktora zraniła mnie tem boleśniéj, że czułam o ile była uzasadnioną. Prawda kole w oczy, niedarmo mówi przysłowie.

Kasztelanic powrócił, wprawdzie nie zapytał doktora o skutki odbytego egzaminu, znać że chciał wybadać sam na sam; lecz po naszéj postawie mógł się łatwo domyśleć prawdy. Podano wieczerzę: wstawszy od stołu, poszłam

z Kornelką do pokoju naszego na górze; dziewczynka spodziewała się gorzkich wyrzutów z mojéj strony, ja ich jednak wcale nie czyniłam, sądząc, że ją bardziéj ukarzę pogardliwém milczeniem.

Nazajutrz rano, gdym z Kornelką zeszła na śniadanie, kasztelanic uprowadził mnie do przyległego pokoju, i z zimną grzecznością wymawiał mi małe postępy córki.

— Małe? odrzekłam—gorzéj niż to, doprawdy; ja utrzymuję, że się nic nie nauczyła.

— I czemuż to? zagadnął kasztelanic — nie sądziłem, aby tak była upośledzoną na umyśle.

— Nie zarzucam jéj tego—odparłam—ale żeby czynić postępy, trzeba koniecznie uległości i pracy; bez nich największa zdolność na nic się bynajmniéj nie przyda.

— Ależ to rzecz Wpanny dobr., żeby sobie z nią radzić. Wszakżem jéj pozostawił zupełną władzę w tym względzie.

— Ja cudów czynić nie umiem—odrzekłam podrażniona.

— To ja też cudów nie wymagam— przerwał kasztelanic.—Niechżeby się choć cokolwiek

nauczyła, poprzestałbym na tém; ale nic, to doprawdy zamało.

To mówiąc ukłonił się ceremonialnie i odszedł do swego pokoju.

Odtąd położenie moje było coraz nieznośniejsze. Kasztelanic zimny zawsze i cierpki, stał się bardziéj niż kiedy ucinkowym, jakiś mróz powiewał od niego. Za przykładem pana poszli i domownicy: w każdém ich słowie i obejściu upatrywałam złą wolę, a rozdrażniona wyobraźnia moja, podnosiła każde ich uchybienie do ogromnych rozmiarów.

Com ja wtedy wycierpiała, Bóg to jeden wie. Trzymałam się w odpornem stanowisku względem wszystkich: na zniewagi, odpowiadałam dumą, na niechęć wzajemną niechęcią. Wkońcu cierpliwość moja wyczerpała się do rzeszty. Było to pamiętam na kilka dni przed świętym Janem: wieczór pogodny był i ciepły. Kornelka w tym dniu więcéj mi dokuczyła niż zwykle. Po długiéj przechadzce po spalonym piasku, przy rażących promieniach południowego słońca, głowa mocno mnie rozbolała; nie zeszłam więc na herbatę, ani na wieczerzę. Gdy

dziewczynka się oddaliła, zamknęłam drzwi na klucz; otworzyłam okno i smutno poglądałam na szeroką równinę. Kosarze uwijali się żywo z kosami, dziewczęta wiejskie zgrabiały siano na kupki, pieśń ich wesoła płynęła z rosą wieczorną i budziła w duszy mojéj jakieś niewyraźne wspomnienia. Przypomniałam sobie lata dziecinne i rodzinną wioskę w Kujawach i szerokie pola nadwiślańskie, i pieszczoty drogich rodziców i zabawy z małym Józiem. Serce zaledwie nie wyskoczyło mi z piersi, a łzy płynęły mi z oczu strumieniem.

— Mój Boże! pomyślałam, czemuż mnie tak doświadczasz? gdy inni żyją swobodnie i szczęśliwie, ja biedna sierota muszę łzami oblewać każdy kawałek chleba, muszę znosić złą wolę i dziwactwa drugich, muszę zdaleka od rodziny żyć samotna i opuszczona, bez serca któreby mnie zrozumiało, bez tkliwéj ręki, którąby łzę otarła z oczu moich! Ale dosyć już tego— dodałam—takiéj ofiary ani Bóg, ani ludzie żądać odemnie nie mogą. Człowiek nie ma prawa zabijać się sam, a tu każda chwila wlewa nową kroplę goryczy do zatrutego serca mego.

Dziś zaraz napiszę do matki, a za dwa miesiące uwolnię się od tych nieznośnych obowiązków.

Niewiele myśląc napisałam dwa listy: jeden do kasztelanica, w którym oświadczyłam mu stanowczo, że dłużéj zostać nie chcę w jego domu. Słowa moje zimne były i krótkie; unikałam wszelkich zażaleń, bo czułam żeby ich nie zrozumiał. Całą boleść duszy mojéj wylałam w liście do matki. Tego listu nie podarłam już jak poprzednio, lecz nazajutrz zrana umyśliłam stanowczo odesłać go na pocztę. Po chwili rozwagi, postanowiłam zaczekać na odpowiedź matki, nim się ostatecznie rozmówię z kasztelanicem. Schowałam więc list napisany do niego, zostawiając go na czas właściwy.

Zamykałam szufladkę od stolika, gdy nagle zapukano do drzwi: otworzyłam żaląc się w duszy na natręctwo; ale jakżem się zdziwiła, ujrzawszy służącego z listem w ręku. Na kopercie poznałam pismo matki.

Dziecię moje ukochane! — pisała drżącą ręką — niech cię to nie trwoży, jeśli spostrzeżesz ślady łez na papierze; to łzy radości i szczęścia!

W téj chwili powracam z aktu uroczystego— nasz Józio otrzymał pierwszą nagrodę i najchlubniejsze świadectwo. O moja Joasiu! jakiż to chłopiec! jakże on gorliwie pracował, jak piękne ma zamiary na przyszłość, i dziś jedynym celem jego życzeń, jest wyjazd na uniwersytet, i ja tego pragnę gorąco; — ale ty jedna możesz mu w tém dopomódz. Podróż daleka i pobyt w obcém miejscu bardzo wiele kosztują: więcéj, niż pozwalają na to nasze środki. Ale jeśli ty przyjdziesz nam w pomoc, o czém bynajmniéj nie wątpię, wszystko się ułoży z łatwością.

Z listu twojego zdaje się, że ci dobrze w domu kasztelanica; a jednak serce moje jakieś strwożone, sama nie wiem czemu. Gdybyś nie była szczęśliwą, powracaj drogie dziecię; zamieszkamy znów razem w naszéj białéj izdebce na poddaszu, ja będę zajmować się robotami, ty mogłabyś dawać lekcye w mieście, kochana pani W.. dopomogłaby ci w tém ze zwykłą dobrocią. Józio i takby jechał na uniwersytet, w takim razie podniosłabym tylko część mojéj sumki. Bóg dobry, On nie opuści sierot,

ufam mu całém sercem i pewna jestem, że jak przez całe życie był mi łaskawym ojcem i opiekunem, tak też i w starości będzie czuwał nademną. O tak! ja nie mam prawa się żalić! przy mojém ubóstwie, czyż nie jestem bogatszą od wielu matek, mając takie dobre i przywiązane dzieci!

Ściskam cię i błogosławię moja droga Joasiu! Odpisz mi natychmiast, tylko szczerze i otwarcie. Dozwól mi czytać w sercu twojém, bo któż je lepiéj zrozumie od przywiązanéj matki?

Co się działo ze mną, gdym ten list przeczytała, tego wam wyrazić nie potrafię. Myśl odjazdu pierzchła jak sen, bo i któż nie wie, że w każdéj stanowczéj chwili życia, szlachetny instynkt najprzód odzywa się w sercu.

— Tak, zostanę tu dla nich — zawołałam, zostanę tu choćby mi stokroć było gorzéj! żadna zniewaga nie dotknie mnie, gdy pomyślę że ją znoszę dla nich, dla przyszłości brata, dla szczęścia i spokojności drogiéj matki!

Odczytałam list powtórnie, i myśli moje inny znów wzięły obrót.

— A gdybym też zamieszkała z matką i uczyła panienki w mieście? Józio odjedzie, matka zostanie sama; nie jestże pierwszym obowiązkiem moim otoczyć ją troskliwą opieką?

I uśmiechnął się do mnie miły obraz jasnego i ciepłego pokoiku na poddaszu, gdziem tyle lat szczęśliwie przeżyła. Ale któż mi zaręczy, że znajdę dostateczną liczbę lekcyj, potrzebną mi do utrzymania? mamże porzucać pewne dla niepewnego, zwłaszcza gdy nie o mnie tylko idzie. Gdyby matka była słabowita i przyciśnięta wiekiem, ten wzgląd przeważyćby musiał wszystkie inne; ale ona dzięki Bogu krzepka była, dosyć młoda, miała bowiem zaledwie czterdziesty rok, a do tego wyborne zdrowie.

W głowie mojéj dziwny powstał zamęt, myśli plątały się bezładnie; widząc że sama sobie nie poradzę bez wyższego natchnienia, upadłam na kolana przed obrazem N. Maryi Panny i błagałam o łaskę i o światło.

W tejże chwili dzwon wieczorny ozwał się na Anioł Pański; dźwięki jego dobiegały wyraźnie przez otwarte okno. Zmówiłam krótką

modlitwę za umarłych, i zdało mi się, jakby duch ojca stanął niewidzialny przy mym boku i przemówił do serca mego, ukrzepiając je w wytrwaniu i ufności.

Łaska to Boża sprawiła moje dzieci, żem w téj stanowczéj chwili szukała pomocy i natchnienia w modlitwie. Modliłam ja się wprawdzie codzień, ale tylko ustami, serce zaś moje zamknąwszy się w sobie, skutkiem otaczającego mnie chłodu, nie szukało ukojenia w tém jedyném źródle, które Opatrzność otworzyła spragnionym i uznojonym na ziemi.

Ale Bóg dobry czekał tylko pierwszego popędu serca, pierwszego zwrotu myśli mojéj do siebie, a widząc dobrą wolę z méj strony, dźwignął mnie z upadku i pociągnął silnie ducha mego. Pod wpływem wyższego natchnienia, postanowiłam nazajutrz skoro świt iść do kościoła, i łaską sakramentu pokuty odrodzić znękane i napół zamarłe serce moje.

O dziesiątéj wieczorem Kornelka wróciła na górę, i poszła spać natychmiast. I ja też usnęłam zaspokojona, a nazajutrz skoro świt wstałam, ubrałam się naprędce i pobiegłam do ko-

ścioła. Pleban, gorliwy sługa Boży, już mnie tam był uprzedził. Gdym weszła w progi kościelne, ujrzałam go w konfesyonale otoczonego garstką wiernych; byłto bowiem dzień świętego Antoniego, który lubo nie święcony uroczyście przez kościół, zostaje niemniéj w wielkiéj czci u pobożnego ludu. Zbliżyłam się za innemi, wyspowiadałam winy moje przed kapłanem, i na proste a mądre jego napomnienia odpowiedziałam serdecznemi łzami pokuty. O! bo też było nad czém zapłakać! Gdym spojrzała bacznie wgłąb serca mego, przekonałam się jak jego stan smutny był i zatrważający. Pycha bowiem oślepiła je, a nienawiść zbierając się w niém po drobniuchnéj kropelce, zatruła je gorzkim jadem, wygnała z niego pobłażanie i zgasiła w niém miłość!

— Przebacz mi o Boże! zawołałam: zapal w sercu mojém tę świętą miłość, bez któréj świat jest dla nas więzieniem i grobem! dozwól mi znosić Twój krzyż nietylko z zimną rezygnacyą, ale z miłością i pokorą chrześcijańską; wzmocnij moje serce tak, aby wszelkie boleści i próby stawały się dlań coraz nowym szcze-

blem do udoskonalenia, a nie twardą zaporą o jaką rozbijały się dotąd bezsilne chęci moje!

Umocniona w duszy wyszłam z kościoła, i przez wieś powróciłam do domu. Dzień był jasny i piękny. Obraz życia rozbudzonego z porankiem, uderzył silnie wyobraźnią moję. Huk młotów w kuźni bijących w rozpalone żelazo rozlegał się głośno po przestrzeni; wiatrak za wsią na wzgórzu żwawo obracał się poruszany wiatrem; kobiety wiejskie prały chusty nad wodą, bijąc w nie z całéj siły kijonkami; kosarze ostrzyli kosy o kamień sprzątając siano na pobliskiéj łące; pastuszki paśli pod lasem woły i źrebięta; chłopek orał spokojnie swój zagon śpiewając pieśń poranną. Patrzałam z zajęciem na ten obraz tak różnolity, kiedyindziéj byłabym może zazdrościła niejednemu; ale wtedy Bóg oświecił już serce moje i wlał w nie wyższe pojęcie prawdy.

— Każdy z nich, pomyślałam, ma właściwą sobie trudność do zwalczenia; każdemu jakaś zapora staje wpoprzek drogi, jak temu chłopkowi, który się schylił w téj chwili i odwala z bruzdy ciężki kamień; jednak żaden z nich

nie traci sił w daremnych skargach, każdy śmiało idzie w zawody z życiem, a ten tylko szczęśliwy, kto ma Boga w sercu; kto z miłością i dobrą wolą spełnia powinność swoję.

Dziwnie się jakoś rozjaśniło w méj duszy, i nawet ten pokój co niedawno smutny i nieznośny, mniéj ponurą dla mnie miał postać; róże na ścianach mniéj były spłowiałe w oczach moich, i Satyr nawet nie tak gorzko uśmiechał się jak dotąd. Kornelka spała jeszcze gdym przyszła; stanęłam nad jéj łóżkiem i rysy jéj nieładne, nabrały dla mnie wdzięku. O! bo wierzcie mi, wrażenia jakie odbieramy ze świata zewnętrznego, zmieniają barwę względnie do usposobienia naszéj duszy; a komu świat przedstawia się czarno, jest zaprawdę w stanie upadku.

Podarłam obadwa listy napisane wczoraj wieczorem, a za to czémprędzéj odpowiedziałam drogiéj matce— zapewniając ją, że jestem zadowolona z miejsca i wcale nie myślę go opuszczać. Zachęcałam Józia, aby jechał niezwłocznie na uniwersytet, i do listu mego do-

łączyłam tysiąc złotych, które odebrałam niedawno z rąk kasztelanica.

Dzień ten przeszedł tak jak wszystkie: nic się na zewnątrz nie zmieniło, ja tylko zupełnie byłam inna. Kornelka zabrała się do nauki z równą jak zwykle niechęcią; nie drażniłam jéj ostremi przymówkami jak dawniéj, ale napomniałam ją po macierzyńsku, wypowiedziałam prawdę bez ogródki; usiłowałam wmówić w nią zalety jakich może i nie miała, pragnąc ją zachęcić i podnieść... uzbroiłam się w cierpliwość, każdą rzecz tłumaczyłam jéj dokładnie; podczas przechadzki rozmawiałam z nią o rozmaitych przedmiotach, a lubo widziałam że niełatwo przyjdzie mi przebić tę lodową skorupę, która otaczała jéj serce, nie traciłam jednak odwagi, pewna, że mi Bóg dopomoże.

Nic mnie w tym dniu nie raziło tak jak zwykle: ani sztywność kasztelanica, ani psy i koty panny Salomei, ani badawczy wzrok doktora, który sam jeden zpomiędzy wszystkich dostrzegł we mnie przemianę.

Od tygodnia był on ciągłym gościem w Piaskach. Panująca we wsi gorączka, była powo-

dem że go kasztelanic sprowadził na czas jakiś. Uczony doktór nie miał ani chwili spoczynku: po kilka razy na dzień przysyłano po niego z okolicznych wiosek, a on pomimo strudzenia, czy to dniem, czy nocą, nie odmawiał nikomu posługi. Wtedy to poraz pierwszy poznałam piękną jego dnszę, któréj zalety kryły się pod szorstką powłoką zewnętrzną; i odtąd téż szczery powzięłam ku niemu szacunek.

Siedzieliśmy właśnie przy herbacie, gdy zajechał po niego ubogi wózek wiejski potrząśnięty garstką grochowin.

— Jakże mi szczerze pana żal — zagadnęłam, widząc go narażonym na tyle niewygód: przykra to rzecz, być tak niewolniczo przykutym do obowiązków swoich.

— Mylisz się panno Joanno — odrzekł—ten tylko niewolnikiem, kto spełnia powinnosć bez zamiłowania. Gdzie skarb twój, tam niechaj będzie serce twoje, wyrzeczono w księdze wiekuistéj mądrości; a czemże skarb nasz, powiedz? czy to owa marna zapłata, jaką otrzymujemy za poniesione trudy? czy to złoto, które świat nazwał bogactwem? O zaprawdę nie! naszym

skarbem trud, praca i ofiara, bo one tylko zapewniają nam szczęście prawdziwe i pokój wewnętrzny. Rozważ dobrze te słowa, moja miła panienko, dodał z uśmiechem, a może wyciągniesz z nich pożytek.

I nie czekając odpowiedzi, wziął mnie za rękę, poraz pierwszy uścisnął ją po przyjacielsku, skłonił się obecnym i wyszedł z pokoju co żywo.

Słowa jego długo brzmiały w uchu mojem, i bacznie rozbierałam w myśli. A więc praca jest dla niego celem, nie środkiem, pomyślałam, jakiż to przykład dla mnie! Żyć w drugich, czynić im dobrze, bez względu czy się wywdzięczą lub nie, to ma być jedyną zapłatą naszą! O, czyż ja kiedy potrafię wznieść się do takiéj wysokości? pytałam siebie sama. Ale nadzieja wstępowała w duszę moję, a głos jakiś szeptał mi tajemnie: „Idź i nie ustawaj, a pokonasz własną nieudolność i zmusisz serce do ukochania powinności twoich. Bądź tylko posłuszną Bogu, idź za głosem Jego, nie z musu jako niewolnica, ale z ufnością jako dziecię Boże.“

Słowa zacnego doktora wyrzeczone w porę, utwierdziły mnie tem mocniéj w postanowieniu, jakie uczyniłam zrana. Odtąd tez życie płynęło mi zaraz swobodniéj, jak wody strumienia, co przebywszy kamienne zapory, rozlewają się szeroko na kwieciste wybrzeża. Z dniem każdym stawałam się mniéj drażliwą, a odtąd też i ludzie przestali mnie obrażać. Dobra wola, którą pragnęłam gwałtem wyrobić w sobie oddziałała pomału na drugich. Lubo mnie jeszcze niekiedy ukłuło jakieś przykre słowo, starałam się przebaczyć je i zapomnieć; poprzysięgłam sobie stanowczo, że nie będę wgniatać dobrowolnie w skroń moję korony cierniowéj jaką mi Bóg nosić rozkazał; i dziwna rzecz — owa korona spadła sama z méj głowy i rany po niéj zabliźniły się zwolna.

W Kornelce téż stanowcza nastąpiła przemiana. Znikła stopniowo jéj nieufność, przestała wreszcie patrzéć na mnie jak na wroga. Coraz mniéj potrzebowałam ją strofować, ale zato nie szczędziłam słów zachęty, które najpomyślniéj działały na rozwinięcie jéj moralne. Wmiarę jak ja byłam weselsza i swobodniejsza, tak

też i serce dziewczynki rozbudzało się, a umysł jéj łagodniał. Obowiązki moje coraz téż większego nabierały dla mnie uroku, przestałam w końcu uważać je za prostą ugodę, opartą na wzajemnych warunkach, ale zato czułam w nich święte posłannictwo, jakie mi Bóg do spełnienia przeznaczył.

Poczciwy doktór czytał głęboko w sercu mojem, i coraz tkliwszą okazywał mi przyjaźń. Często bardzo towarzyszył nam w zwykłych przechadzkach do lasu lub na łąkę, zbierał z nami zioła, wskazywał ich użytek, i odkrywał cuda Boże, zawarte w każdym listku, w każdém zdziebełku trawy.

— Gdzie rzucić okiem — mówił raz do mnie, wszędzie cud, wszędzie tajemnica, a największy cud w własnem sercu naszem. To też nauka życia trudniejsza od każdéj innéj; a kto choć krok postąpił na niéj, ten już wiele dokazał. I ty moja panno Joanno, choć taka jeszcze młoda, nabrałaś już niemało doświadczenia, i umiałaś z niego korzystać.

—Tak cokolwiek — odrzekłam zapłoniona, nauczyłam się przynajmniej być spokojną

w tychże samych warunkach, w jakich dawniej czułam się nieszczęśliwą.

— To dowodzi, że szczęście leży w nas samych—odparł doktór,—i że pycha nasza czyli przekonanie iż nam się cóś więcéj należy, główną stawia do niego zaporę. Pycha to kładzie na głowę naszą ostrą koronę z ciernia. Lubimy się bawić w męczeństwo, w mniemaniu że świat powinien się ukorzyć przed blaskiem naszych palm i aureoli. Ależ to czcze złudzenie! świat obojętnie patrzy na męczenników własnéj pychy, i nie ma dla nich współczucia. Zrozumiałaś to w samą porę, moja panno Joanno, zrzuciłaś z serca ten niepotrzebny ciężar, i lżéj ci teraz, nieprawdaż? a co większa, i drugim lepiéj z tobą.

Sama nie wiedziałam co odpowiedziéć doktorowi; wybawiła mnie z kłopotu Kornelka, która przybiegła wesoło z ogromnym pękiem niezapominajek uzbieranych w rowie, prągnąc zdobyczą swoją pochlubić się przed nami.

Z listu matki otrzymanego wkrótce potem dowiedziałam się że Józio pojechał już na uni-

wersytet. Nadchodził właśnie październik, a z nim kończył się rok pobytu mego w Piaskach. Na miesiąc przedtem, kasztelanic zapytał mnie, czy pragnę dłużéj pozostać w jego domu, zapewniając że zupełnie jest zadowolony ze sposobu w jaki spełniam obowiązki moje. Odpowiedziałam że zostanę jaknajchętniéj.

— Możebyś acanna dobr. chciała odwiédzić matkę? zapytał; co do mnie, nie mam nic przeciw temu.

Nie potrzebuję wam mówić z jaką radością chwyciłam się téj myśli. Jakoż na trzeci dzień potem, wyjechałam do Warszawy, nie uprzedziwszy nawet matki o rychłem przybyciu. Nie potrzebuję wam mówić, jaka była radość masza, jakie powitanie! Tydzień cały przebiegł mi jak mgnienie oka. Opowiedziałam matce wszystko, wyznałam jéj moje winy, dałam poznać mój zwrot na lepszą drogę, szczere chęci i postanowienia na przyszłość.

— Czemużeś ze mną nie wychodziła otwarcie, rzekła ta nieoceniona matka, byłabym ci doświadczoną radą przyszła nieraz w pomoc, i niejednéj oszczędziła przykrości.

— Prawda matko — odrzekłam — żałuję tego szczerze, ależ nie chciałam cię martwić. Odtąd przyrzekłam święcie, iż nigdy nie będzie między nami najmniejszéj tajemnicy.

Tegoż dnia, idąc z matką Krakowskiem-Przedmieściem spotkałyśmy Julię. Zobaczywszy mnie, aż wykrzyknęła z radości.

— Ha, nie jesteś już przecie w tych nieszczęśliwych Piaskach—mówiła ściskając mnie—przekonaną byłam że nie wytrwasz. O! co to za dom! jacy ludzie! To gorzéj niż więzienie, istny cmentarz! Jabym tam umarła przez tydzień.

— A jednak moja Julko powracam tam za dwa dni, odrzekłam ze śmiechem.

— Na Boga! niechże pani temu przeszkodzi, zawołała zwracając się do matki. Ona nie wytrwa w téj grobowéj atmosferze!

— Wierz mi Julko —odrzekłam spokojnie; tę dziwną atmosferę, która cię tak raziła, ja sama stworzyłam wkoło siebie. Chciałam koniecznie nagiąć drugich według upodobania mego; ale próżne były te chęci, nagięłam się sama do drugich, i wszystkim nam z tém dobrze.

— Już jabym się tam nie potrafiła nagiąć— przerwała Julja — zwłaszcza jakbym czuła że słuszność z mojéj strony.

— W rzeczach sumienia, zapewne—odrzekłam—ale w codziennych stosunkach z ludźmi koniecznie trzeba umiéć ulegać, z pobłażaniem i dobrą wolą.

Pożegnałam Julię, któréj nie zdołałam przekonać. We dwa dni potem kochana matka odprowadziła mnie na pocztę, tak samo jak w roku zeszłym. I teraz nie obyło się bez łez, ale usposobienie moje nierównie było swobodniejsze, to téż i droga nie tak mi się zdawała uprzykrzoną.

Zastałam konie oczekujące na ostatniéj stacji, i około dziewiątéj byłam z powrotem w Piaskach. Kasztelanic rozkazał czekać na mnie z wieczerzą, z wielkiem podziwieniem domowników. Kornelka wybiegła na ganek usłyszawszy turkot przed dworem. Ucieszyła się niezmiernie z książek i kilku drobnostek, które jéj przywiozłam w upominku z Warszawy. Oczy jéj zapłonęły nieznanym dotąd blaskiem, i pierwszy raz w życiu wydała mi się prawie ładną.

W parę dni po moim przyjeździe kasztelanic wyjechał do Prus, gdzie go wzywały interesa. Odjeżdżając, powierzył Kornelkę wyłącznéj mojéj opiece. Prosił także doktora aby o ile mógł jak najczęściéj zaglądał do Piasków. Uważałam w nim jakiś szczególny niepokój przy odjeździe, jakoż przeczucia ojcowskie sprawdziły się nieszczęściem. Na drugi dzień po wyjeździe kasztelanica, Kornelka od rana skarżyła się na ból głowy; przerwałam natychmiast naukę, zeszłam z nią do ogrodu, ale przechadzka nie przyniosła jéj ulgi. Na obiad nie jadła nic, a mocno zarumienione jéj policzki świadczyły o gorączce. Przed wieczorem posłałam po doktora; przyjechał natychmiast, zbadał chorą, przepisał jéj łagodzące środki, lecz sam nie wiedział jeszcze, jaki słabość weźmie kierunek. Nazajutrz stan Kornelki znacznie się pogorszył, przystąpiła maligna; doktór zacierał czoło i okazywał wyraźny niepokój.

— O ciężka to była dla mnie próba, moje dzieci — mówiła pani Milecka po chwilowéj przerwie. — Wobec tych rzeczywistych cierpień, z politowaniem nad sobą, zwracałam myśl

w przeszłość, wspominając owe urojone nieszczęścia, które mnie tak dręczyły, owe próżne łzy, których wylałam tak wiele!

Choroba Kornelki przeciągnęła się do czterech tygodni; stan jéj pogorszał się z dniem każdym, przez cały ten czas, czuwałam przy niéj dniem i nocą, nie rozbierając się ani na chwilę. Gdy niebezpieczeństwo stało się widoczne zapytałam doktora, czyby nie donieść o tém ojcu, i nie zawezwać go z drogi, ale doktór odwiódł mnie od tego.

— Dajmy temu pokój — rzekł — cóż on nam tu pomoże; trzeba się zdać na wolę Bozką i działać według możności.

Com ja wytrwała, Bogu to jedynie wiadomo. Serce moje krajało się na widok okropnych cierpień dziewczynki. Wówczas to pokochałam ją całą duszą, bo taka to właściwość serca ludzkiego, że się przywiązuje w miarę poświęceń jakie czyni, i najmocniej kocha tych którym się czuje najbardziéj potrzebne.

Z niewymowną boleścią patrzałam na zżółkłą i wychudłą twarz Kornelki, na oczy jéj wklęsłe i gorączkowym zapalone ogniem; na

usta spieczone i czarne. Nadszedł nakoniec dzień oczekiwany z trwogą, okropny dzień przesilenia. Kornelka wpadła w sen głęboki, i nie okazywała prawie znaku życia, pot zimny kroplami występował na jéj czoło. Była to walka choroby, z ostatkiem sił żywotnych, walka życia ze śmiercią. Sama nie wiedziałam jak ten stan tłumaczyć, a nie śmiałam pytać doktora; unikałam nawet jego wzroku, aby nie odkryć smutnéj prawdy.

Z sercem boleśnie ściśniętem, pobiegłam do przyległego pokoju, uklękłam przed obrazem Matki Boskiéj, i modliłam się gorąco, raczéj myślą niżeli słowy.

— O Boże! jak sprawiedliwie karze mnie ręka Twoja—pomyślałam—za tyle grzesznych skarg, za takie nieuszanowanie i lekceważenie darów Twoich. Bądź wola Twoja Panie, ale jeżeli można, oddal odemnie ten kielich!

I zalana łzami, pochyliłam głowę na wezgłowie, i chwilę klęczałam w milczeniu. Nagle szmer dał się słyszéć, obróciłam się i ujrzałam doktora. Krzyknęłam z boleścią, w mniemaniu, że wszystko skończone.

— Uspokój się panno Joanno—rzekł doktor, biorąc mnie za rękę — Bóg wysłuchał twéj prośby, choroba już się przesiliła.

W uniesieniu radości, przycisnęłam do ust rękę doktora, i całowałam ją ze łzami, dziękując mu za podjęte starania i trudy.

— Nie mnie ale Bogu ztąd chwała — odrzekł. — Jego łaska ocaliła ją.

Zbliżyłam się do łóżka choréj, blada była ale spokojna. Otworzyła oczy, uśmiechnęła się i podała mi rękę.

Odtąd siły jéj wracały z każdą chwilą, w tydzień potém siedziała już na łóżku obesłana wkoło poduszkami.

— Podziękuj jéj Kornelko,— mówił doktor wskazując na mnie—ona była ci matką, więcéj niżeli matką; jéj opieka i staranie utrzymały cię przy życiu.

Na te słowa Kornelka wyciągnęła do mnie wychudłe ręce, i uścisnęła mnie rzewnemi zalana łzami. Były to pierwsze łzy uczucia jakie wylała w życiu. Bóg doświadczył ją ciężką chorobą; serce jéj zmiękło jak wosk, lód stopił się ogrzany promieniem cierpienia i miłości.

— Oto nagroda twoja panno Joanno—rzekł doktor — raduj się w Panu, gdyż wyrwałaś jednę duszę z zatracenia, i roztliłaś w niéj iskrę Bożą, któréj nic już nie zgasi.

Piękna to była nagroda, moje dzieci, to też owa chwila należy do najdroższych wspomnień z życia mego.

W kilka dni potém przyjechał kasztelanic. Doktór opowiedział mu wszystko co zaszło: biedny ojciec ze łzami w oczach uścisnął córkę, ze łzami też dziękował mi za podjęte około niéj starania.

Odtąd przekonałam się że ten człowiek miał serce, mimo pozornego chłodu. Byłto raczéj dziwak niż samolub. Świat zmroził go i pozbawił wiary w ludzi! zawiedziony w domowem pożyciu, i nieszczęśliwy z żoną która porzuciła go na parę lat przed skonem, miał żal do wszystkich kobiét: nie wierzył w ich cnoty i poświęcenie. Mimo to iskierka tlała jeszcze, głęboko ukryta w tém złamanem i zawiedzionem sercu, a przy sposobności, rozniecała się nawet w jasny płomień.

Nierównie mniéj uczucia było w pannie Salomei, któréj cała troskliwość zwróciła się do kotków, piesków i kanarków, tak, że w sercu nie zostało miejsca dla ludzi.

Nastąpiła zima, a z nią długie wieczory. Kasztelanic widząc upodobanie moje w książkach, sprowadził wiele nowych dzieł, i zaprenumerował parę pism peryodycznych. Wieczory schodziły nam też przyjemnie na wspólnem czytaniu. Poczciwy doktór często nas odwiédzał, a każdy przyjazd jego był dla mnie powodem nowéj radości. Od czasu choroby Kornelki zawiązała się między nami szczera przyjaźń, oparta na wzajemnym szacunku i zaufaniu. Rozmowa z nim zawsze na wyższy ton nastrojona, oświécała mnie w wielu rzeczach; zasięgałam też jego rady względem wychowania Kornelki, i starałam się korzystać z jego doświadczenia, co mi zawsze na dobre wychodziło.

Około Wielkiéjnocy, na moje własne żądanie, odbył się w obec kasztelanica powtórny egzamin zupełnie odmienny od zeszłorocznego. Kornelka odpowiadała śmiało i ochoczo, ojciec

uśmiechał się widząc jéj niezaprzeczone postępy; doktór wykręcał zapytania na rozmaity sposób, ale nie mógł złapać dziewczynki, u któréj władze umysłowe widocznie się rozwinęły.

Chcąc mnie w delikatny sposób wynagrodzić, kasztelanic po naradzie z doktorem napisał do matki mojéj list zapraszający ją na Wielkanoc; a otrzymawszy jéj odpowiedź, wysłał po nią wygodny powóz do Warszawy. Odbyło się to w tajemnicy przedemną: to też nie chciałam dać wiary własnym oczom, kiedym zobaczyła drogą matkę wchodzącą do pokoju mego na górze. Wesołe téż to były te święta, nigdy nie zapomnę ich w życiu.

Matka zabawiła kilka tygodni w Piaskach, na uprzejme prośby gospodarza domu. Odjechała dopiéro w końcu czerwca; towarzyszyłam jéj także, pragnąc zobaczyć się z drogim bratem, który miał przybyć na wakacye.

Za powrotem moim do Piasków, zaszła nowa okoliczność, która silniéj jeszcze przywiązała mnie do obowiązków moich.

Byłoto pamiętam w początkach lipca: doktór przybył wieczorem po herbacie i wyprowadził mnie do ogrodu.

— Moja panno Joanno—rzekł— przyjechałem zumysłu, aby otwarcie z tobą pomówić. Widzę, że obowiązki twoje w tym domu są dosyć uciążliwe. W twoim wieku, nie dziwiłbym się wcale, gdybyś pragnęła trochę rozrywki i ożywienia, których tu nie masz i miéć nie możesz. Otóż właśnie zdarza się okoliczność potemu. Hrabina R., matka dwóch dorosłych córek, kobiéta najzacniejsza w świecie, wybiéra się wkrótce do Paryża, zkąd wyjedzie na zimę do Florencyi, a na Wielkanoc do Rzymu. Usłyszawszy wiele dobrego o tobie od pani W. chciałaby cię koniecznie zabrać z sobą. Ofiaruje ci przezemnie cztéry tysiące złotych na rok, tojest: dwa razy tyle ile bierzesz w domu kasztelanica; a żąda jedynie od ciebie, abyś dawała panienkom lekcye języka polskiego i literatury; myślę, że nie odrzucisz tak korzystnych warunków. Przyrzekłem jutro zawieść jéj stanowczą twoję odpowiedź, zostawiam ci więc kwadrans czasu do namysłu:

pójdę odwiédzić chorych na wsi, tymczasem obrachuj się dobrze sama z sobą.

Serce biło mi gwałtownie: w młodéj wyobraźni mojéj snuły się ponętne obrazy. Paryż z wytwornym przepychem swoim. Włochy z niebem i zabytkami sztuk, Rzym z przeszłą i obecną chwałą, pociągały mnie silnie. Nigdy już, pomyślałam, taka okoliczność nie powtórzy się w życiu mojem, ale czyż mogę, czyż powinnam z niéj korzystać? A ta Kornelka w któréj młodem sercu roznieciłam iskierkę Bożą, w cóż się obróci bezemnie? Oddana w inne obojętne ręce, stanie się znów zimną i samolubną jak dawniéj, straci tę wiarę i ufność, zaszczepione z taką trudnością w jéj serce, i nic dziwnego że je straci, skoro i odemnie dozna zawodu. Byłożby to sumiennie, gdybym ją porzuciła wpół drogi, wyprowadziwszy ją zaledwie z bezdroża? Nie, nigdy. Bóg mnie tu postawił na straży, powinnam więc wytrwać do końca. Mamże sprzedawać moję pracę, moję zdolność, jak prosty towar, sprzedawać je temu, kto lepiéj za nie zapłaci? Mamże poniżyć nauczycielski mój zawód, uważając w nim pro-

sty najem, nie zaś posłannictwo święte do spełnienia. Mamże się dobrowolnie uchylać od obowiązku pracy i rozmiękczać ducha w próżniactwie i zbytkach, nieodpowiednich położeniu memu? Mamże nakoniec roztrwonić marnie ten ubogi plon zasługi, który opłakałam tylu łzami? Nigdy, nigdy! niech mnie Bóg strzeże od tego.

Siedziałam właśnie na darniowéj ławeczce w cieniu lip, pogrążona w tych myślach, gdy doktór ukazał się przedemną.

— No i cóż — zapytał niespokojnie — czyś się namyśliła panno Joanno?

— O tak, tak—zawołałam podając mu rękę, zostaję tu, czuję, żem tu potrzebna, i za nic w świecie nie opuszczę stanowiska mego.

Doktór przymróżył jedno oko i dobył tabakierkę z kieszeni.

— Skoro tak — rzekł otrząsając palce z tabaki — powiem hrabinie, żeby się próżno nie ubezpieczała na ciebie, moja panno Joanno. Ależ powiedz mi szczerze, czy ci nie żal tych świetnych widoków?

— A gdyby i żal było — odrzekłam z uśmiechem — nie powinnażbym ich odrzucić? Przedewszystkiem powinność i sumienie.

— Nie rozumiem w czembyś uchybiła sumieniu i powinności—rzekł doktór.

— Nie udawaj drogi doktorze—odparłam—wiem żeś mnie zrozumiał, i zumysłu tylko odgrywasz rolę kusiciela. Świat nie miałby prawa potępić mnie, choćbym porzuciła jedne obowiązki, a chwyciła się drugich, ale głos serca, który nie myli, obwiniałby mnie słusznie o przeniewierstwo. Dajmy już temu pokój.

Powstałam z ławeczki, doktór zbliżył się i ujął mnie za rękę, i przycisnął ją do ust, nie wyrzekłszy ani słowa.

Powróciliśmy oboje pod wystawę, gdzie siedział kasztelanic z panną Salomeą i Kornelką.

A widzisz pan że miałem słuszność — rzekł doktór — zostaje z nami, nie przyjęła miejsca u hrabiny.

Kasztelanic wstał z miejsca, radość zajaśniała na zwiędłéj jego twarzy.

— Dziękuję ci pani — rzekł zmienionym głosem, i pierwszy raz dopiéro pocałował mnie

w rękę. Kornelka przybiegła, i rzuciła się w moje objęcia.

— Czyż to być może? zawołała, a więc nie opuścisz mnie droga panno Joanno! o Boże! jakież to szczęście! ale powiedz mi czemu chcesz z nami zostać, kiedy tam miałabyś tyle przyjemności?

— Bo cię kocham, Kornelko — odrzekłam rozrzewniona — bo czuję, żem ci potrzebna.

Dziewczynka zapłakała rzewnemi łzami.

— Ty mnie kochasz wyrzekła stłumionym głosem, a ja tak byłam przykra i niedobra dla ciebie. O! nigdy w życiu nie daruję sobie tego.

— Co przeszło, niech pójdzie w zapomnienie — rzekłam odgarniając jéj ciemne włosy, i patrząc z miłością na jéj twarz dziwnie rozpłomienioną.

W kilka dni potem, kasztelanic uprowadził mnie na bok po herbacie; podziękował jeszcze raz za ofiarę, jaką uczyniłam dla jego córki, i prosił jako o łaskę, abym przystała na podwojenie pensyi, jaką pobierałam dotąd.

— Nie odmawiaj mi pani tego — rzekł wzruszony — wiem że żadnemi pieniędzmi w świecie nie zdołam opłacić twéj macierzyńskiéj troskliwości; ale nie mogę na to pozwolić, abyś była wyraźnie pokrzywdzoną, zostając w moim domu. Chciéj pani przyjąć to przynajmniej co ci ofiarowała hrabina, a w dodatku dozgonną wdzięczność moję i szacunek.

Rada nie rada musiałam w końcu przystać, wiedziałam bowiem że inaczéj sprawiłabym przykrość zacnemu kasztelanicowi.

Następny rok upłynął mi nierównie swobodniéj, pokoik mój nawet milszą przybrał postać, w miejscu starego obicia oklejony ładnym papierem w kwiaty. Kornelka rozwijała się tak pod względem umysłu jak i serca: wyrosła już prawie na panienkę; coraz też więcéj miałam przyjemności w jéj towarzystwie. Rysy jej dawniéj nieładne, zmieniły się do niepoznania: po przebytéj chorobie, zdrowsza była niż kiedykolwiek w życiu i słaby rumieniec zakwitnął na jéj licach, a blask prawdziwie uroczy ożywił ciemne i wydatne jéj oko. Ojciec

cieszył się niewymownie tą przemianą, i mnie ją wyłącznie przypisywał.

W lecie znów matka moja przyjechała do Piasków, z bratem który skończył już uniwersyteckie nauki. Kasztelanic wielką znalazł przyjemność w towarzystwie Józefa, i na wyjezdnem opatrzył go w listy polecające do kilku wyższych urzędników z sądownictwa, w którem brat mój zamierzał pracować. Te listy wielce mu były pomocne przy rozpoczęciu nowego zawodu.

W jesieni zaczął się czwarty rok pobytu mego w domu kasztelanica. Pobierając znaczną pensyę, a niewiele potrzebując dla siebie, przyszłam zwolna do kilku tysięcy złotych, które zmieniłam na listy zastawne. Matka nic prawie przyjąć odemnie nię chciała; zamiłowana w pracy i rządności, umiarkowana w potrzebach, sama wystarczała na własne utrzymanie. Józef też pracując przy redakcyi jednéj z gazet, miał ztąd niemałe korzyści. Spokojna więc byłam o przyszłość, nietylko swoję, ale i dobréj matki i cieszyłam się nadzieją, że kiedy wiek starga jéj siły, będę mogła zapewnić

jéj wszelkie wygody, i wywiązać się choć w części za staranne wychowanie i macierzyńką jéj opiekę.

Zima następna zbiegła mi nierównie przyjemniéj niż poprzednia. Książek nowych mieliśmy dosyć, i czytywaliśmy je wspólnie wieczorami. Doktór częstym u nas bywał gościem, i nieraz, zwłaszcza w niedzielę i święto, przywoził z sobą młodego siotrzeńca swego, pana Karola, który niedawno zamieszkał w miasteczku, otrzymawszy stopień podpisarza przy tamtejszym sądzie.

Pan Karol kończył nauki w uniwersytecie dorpackim, równie jak i brat mój Józef, z tą różnicą, że o parę lat wcześniéj od niego. Byłto młody człowiek z wyższemi pojęciami i gruntownem wykształceniem. Kasztelanic umiał go też ocenić, i przyjmował go chętnie w swoim domu. Pan Karol więc przyjeżdżał coraz częściéj, o ile tylko pozwalały mu obowiązki, a obecność jego bardzo ożywiała nasze domowe kółko. Doktor okazywał mi zawsze prawdziwe współczucie, a przyjaźń jego coraz bardziéj przybierała charakter ojcowski. Spostrzegłam

nawet, że miał względem mnie ukryte zamiary, z któremi odezwał się nakoniec.

Byłoto pamiętam podczas Zielonych Świątek. Doktor przybył w sobotę z Karolem. Obadwa dni świąt zbiegły nam nadzwyczaj przyjemnie: w poniedziałek wieczorem pojechaliśmy do lasu. Kasztelanic wdał się z Karolem w jakąś uczoną rozprawę, Kornelka zbierała jagody, panna Salomea prowadziła dwa pieski na wstążce, z obawy żeby się nie zabłąkały. Doktor tymczasem uprowadził mnie na bok.

— Moje dziecię—rzekł—daruj mi, że cię tak nazywam, ale włos mój siwy nadaje mi pewne prawa, a przytém znamy się nie od dzisiaj, chciałbym oto z tobą otwarcie pomówić w rzeczy która nas oboje równie obchodzi. Kornelka już skończyła lat szesnaście; wywiązałaś się względem niéj z macierzyńskiego obowiązku: wychowałaś ją wybornie, zaszczepiłaś w jéj serce gruntowne zasady, z któremi da sobie radę na świecie. Teraz czas, abyś sama o sobie pomyślała. A więc bez ogródki, przystępuję do rzeczy po prostu: Mój siostrzeniec Ka-

rol poznał cię i ocenił. Jestto chłopiec pełen dobrych zalet, z wyrobionym charakterem, i pewien jestem że cię uszczęśliwić potrafi. Wyznaj mi zatem otwarcie, tak jak ojcu, czy chcesz być jego żoną?

Zmieszałam się dziwnie na te słowa, drżałam jak listek, i sama nie wiedziałam co powiedzieć.

— Mój szanowny doktorze—odrzekłam nareszcie—wdzięczna ci jestem za położone we mnie zaufanie, ja także umiem ocenić pana Karola, dodałam trochę ciszéj, ale pojmujesz łatwo, że bez naradzenia się z matką, nic stanowczo odpowiedzieć nie mogę. Jéj wola była zawsze dla mnie prawem, mogłażbym w tak ważnym wypadku nie odwołać się do jéj rady?

— Znam twoję zacną matkę odrzekł doktor, i pewien jestem, że nic nie znajdzie przeciw Karolowi, jeżeli tylko serce twoje skłania się ku niemu. Napisz więc do niéj otwarcie, a dopóki nie odbierzesz odpowiedzi, zachowajmy wszystko w tajemnicy.

Przystałam chętnie na to, i w rzeczy saméj przekonana byłam, że matka zgodzi się naj-

chętniéj na ten związek. Co do mnie, jeśli mam wyznać prawdę, czułam się zupełnie szczęśliwą. Miałam dla Karola prawdziwą przyjaźń, a lubo strzegłam dotąd jak mogłam serca mego, nie chcąc go narażać na zawód, mimowoli jednak rozbudziło się w niém szczere i głębokie uczucie, oparte na ufności i szacunku. Gdyby Karol nie był pomyślał o mnie, zapewne żebym nie rozpaczała, i zniosła spokojnie jego obojętność; skoro jednak pragnął połączyć się ze mną, dziękowałam szczerze Bogu, przeczuwając że w tym związku znajdę prawdziwe szczęście.

Poczciwy doktór uważał rzecz prawie za skończoną, i długo rozmawiał ze mną w tym przedmiocie, snując na przyszłość najpiękniejsze zamiary.

— Moje dziecię—rzekł—nie chcę cię łudzić napróżno, nie obiecuję ci też dostatków w związku z moim siostrzeńcem. Karol jak wiesz ubogi, ma dziś zaledwie parę tysięcy na utrzymanie, ale przyszłość otwarta przed nim, bo to człowiek sumienny i prawy, a praca bynajmniéj go nie zastrasza. Co do mnie, choćbym

rad, nic wam dopomódz nie mogę. Pieniądze jakoś, nigdy mnie się nie trzymały, znać że mnie Pan Bóg nie stworzył do zbierania: choć więc pracuję od lat trzydziestu, nie mogę nigdy utrzymać nic w zapasie. Ty dziecię moje, lepiej się rządzisz odemnie, gdyż jak mówiłaś sama, zebrałaś sobie kilka tysięcy złotych.

Daruj mi, że dotykam téj materyi, znasz mnie przecie i wiesz, że mną chciwość wcale nie powoduje. Ale skoro mówimy otwarcie, powiem ci że rad jestem temu, gdyż dzięki twojéj oględności, będziecie mieli za co urządzić dom przyzwoicie, i zaopatrzyć na początek wasze gospodarstwo. Co zaś na potem, zaręczam za Karola, że sumienną pracą wystarczy nietylko na domowe potrzeby, ale też zapewni i szanownéj matce twojéj stosowne utrzymanie.

Wdzięczna byłam doktorowi za jego szczere słowa; nie obwiniałam go bynajmniéj o wyrachowanie, znałam bowiem jego bezinteresowność, posuniętą aż do nieoględności, znałam jego miłosierdzie dla ubóstwa, skutkiem którego nie mógł nigdy utrzymać w domu ani grosza. Miło mi było pomyśléć że kiedyś, zła-

many wiekiem i trudami, spocznie przy naszem ognisku, i w naszéj tkliwéj opiece znajdzie nagrodę za wielkie cnoty spełniane względem bliźnich, w ciągu długiego i mozolnego życia.

Nadejście Kornelki przerwało dalszą rozmowę moję z doktorem, ale nie przerwało wątku marzeń, które zbudzona wyobraźnia moja snuła tak ponętnie i uroczo. Od téj chwili nie śmiałam spojrzéć na Karola, drżałam jak liść gdy się zbliżył z kasztelanicem. Spostrzegł to doktór i uśmiechnął się nieznacznie, a czoło jego dziwnie się rozpłomieniło.

Wieczorem doktór odjechał z Karolem. Nazajutrz zrana napisałam do matki, nie tając przed nią uczuć moich. Skreśliłam wierny obraz pana Karola, powtórzyłam całą rozmowę z doktorem, wyznałam że z mojéj strony, przeczuwam szczęście w tym związku, że się jednak poddaję zupełnie woli matki, powierzając w jéj ręce moję przyszłość.

Właśnie wyprawiałam ten list na pocztę, gdy mi przyniesiono list matki. Zadrżałam mimowoli kiedym go spostrzegła, gdyż przed

dwoma dniami miałam ostatnią wiadomość, a według umowy naszéj, pisywałyśmy do siebie co tydzień. Podpis na kopercie skreślony był drżącą i niepewną ręką, przeczuwałam coś złego, i przez chwilę nie śmiałam złamać pieczątki. Zdobyłam się wreszcie na odwagę' rzuciłam okiem na list, i z pierwszych słów przekonałam się, że mnie złe przeczucia nie zawiodły.

— Moja droga Joasiu!— pisała matka— Bóg ciężkie dopuścił na nas zmartwienie, w Nim też i w tobie nasza jedyna nadzieja. Wyobraź sobie, że biedny Józio zgubił ośm tysięcy złotych, powierzone mu na interes, przez jednego z obywateli wiejskich. Nie zawinił nawet nieostrożnością: zamknął pieniądze w biurku, wyszedł, a za powrotem zastał drzwi od pokoju odbite, biurko otwarte, pieniędzy zaś ani śladu. Biedny chłopiec chodzi jak błędny, nie wie nawet żem napisała do ciebie. Gdy poszukiwania okazały się daremne, zastawił złoty zegarek (jedyną pamiątkę po ojcu), i wszystkie moje sreberka, ale to niewiele uczyniło. Przyjaciele jego i koledzy zebrali między

sobą tysiąc złotych, redakcya gazety zaliczyła mu też jakąś summkę na rachunek przyszłéj pracy; wszystko to jednak nie pokrywa ani połowy straty. Ufam w twoje serce Joasiu, wiem że nam przyjdziesz w pomoc: Bóg w tobie jedyną wskazuje nam ucieczkę. Przesyłam ci przytem macierzyńskie uściśnienie i błogosławieństwo.

Pociemniało mi w oczach, gdym ten list przeczytała. Zdało mi się jakby piorun uderzył, i rozbił cały gmach szczęścia, zbudowany w wyobraźni mojéj. Lecz mylę się . . . nie sama tylko wyobraźnia cierpiała, i serce moje brało udział w cierpieniu, bom szczerze ceniła Karola. Nie wahałam się jednak ani chwili. Drżącą ręką dobyłam ze stolika sześć listów zastawnych, zapieczętowałam je, i sama odwiozłam na pocztę, z nowo napisanym listem, poprzedni zaś podarłam ze łzami.

Kornelka spostrzegła mój smutek, i pytała troskliwie o powód.

— Moje dziecię, to tajemnica, a do tego nie moja— odrzekłam— kiedyś opowiem ci wszyst-

ko, lecz dziś nie mogę zadosyć uczynić twojéj woli.

Uścisnęła mnie serdecznie, i tkliwa jéj pieszczota, była mi prawdziwą osłodą w cierpieniu. Co się działo zemną, przez ten nieszczęśliwy tydzień, tego wam opisać nie potrafię. Doktór miał przybyć w sobotę, daremnie łamałam sobie głowę, co mu powiedziéć. Niepodobna było wyznać powodu, znałam bowiem jego zacne serce i wiedziałam żeby się sam ogołocił ze wszystkiego dla Karola, gotówby był nawet zabrnąć w długi, i stracić spokojność tak potrzebną w starości. Na to przystać w żaden sposób nie mogłam; wszelkiem zaś kłamstwem brzydziła się moja dusza.

Prosiłam téż Boga o natchnienie, i szczera modlitwa przywróciła mi pokój.

Nadeszła sobota, doktór przyjechał, szczęściem że sam, bez Karola. Zaledwie rzucił na mnie okiem, spostrzegł nadzwyczajną zmianę w mojéj twarzy. Po herbacie, gdyśmy wszyscy wyszli do ogrodu, uprowadził mnie na bok: drżałam jak liść i nie byłam w stanie utrzymać się na nogach

— Siadaj panno Joanno — rzekł wskazując mi darniową ławeczkę—postać twoja smutno coś wróży, że nic mi pomyślnego nie powiesz. Czy wolno zapytać o przyczynę tak wielkiego wzruszenia?

— Przebacz mi pan—odrzekłam—nie obwiniaj mnie o nieufność; ale zmuszona jestem milczéć. Kłamać nie chcę, wyznać prawdy nie mogę, a więc nie mówmy lepiéj otém.

Doktór pokręcił głową i przymróżył oko z wyraźnem niedowierzaniem.

— Jedno słówko—rzekł— a więc pani odrzucasz rękę Karola?

— Nie mogę jéj przyjąć—odrzekłam zdobywając się na odwagę.

— Kiedy tak, rzecz skończona—rzekł—nie mówmy już o tem.

— I zostańmy przyjaciołmi, tak jak dawniéj— dodałam.

— Nie pojmuję przyjaźni bez zaufania—odparł zimno doktór i odszedł.

Zalałam się łzami, i długo, długo siedziałam w miejscu nieporuszona. Gdy mrok zapadł, odważyłam się dopiero wyjść z ciemnéj lipo-

wéj ulicy, ukazać ludzkim oczom. Kornelka spostrzegłszy mnie zdaleka, przybiegła co żywo, i uścisnęła mnie serdecznie. Dzieliła ona moję boleść, nie zgadując nawet jéj powodu.

Doktór bawił przez cały dzień następny, ale unikał mnie widocznie. Rozmawiał ciągle z kasztelanicem, grał z nim w szachy; do mnie tylko nie wyrzekł ani słowa. Bolało mnie to prawdziwie, gdyż ceniłam go, i kochałam jak ojca. Nie mogłam nawet pojąć przyczyny tego gniewu; wszakże nie czyniłam nigdy Karolowi najmniejszych nadziei, a więc nie narażiłam go na zawód. Później dopiéro domyśliłam się co miał przeciwko mnie poczciwy doktór: oto ułożył sobie w głowie, iż mam jakieś widoki na kasztelanica, i że dlatego odmawiam ręki Karolowi. Posądzając mnie o interes, nic dziwnego, że się tak dla mnie zmienił.

Cierpiałam mocno, a jednak mężnie stawiałam czoło czerpieniu. Nie roztkliwiałam się daremnie nad sobą, nie rozdrażniałam rany mojéj wspomnieniem, ani rozmarzałam wyobraźni złudnym obrazem postradanego szczęścia;

słowem, trzymałam się oburącz za serce, powstrzymując każde jego silniejsze uderzenie.

— Niechże ofiara moja będzie zupełną; mówiłam do siebie, niech zostanie w tajemnicy pomiędzy mną a Bogiem, a stanie się szczeblem do prawdziwego udoskonalenia mego; i łaska Boża rozjaśni wtedy przedemną pustą i samotną ścieszkę życia.

Mimo tych pięknych postanowień, myśli nieproszone wciskały się gwałtem do mojéj głowy, i brzęczały w niéj jak osy w pszczolnym ulu. Odpędzałam je dwoma niechybnemi środkami: modlitwą i pracą; walcząc tą bronią, zwyciężałam je wkońcu.

Matka moja, dla różnych drobnych przyczyn, nie przyjechała w tym roku do Piasków. Co do mnie, jeśli mam prawdę wyznać, nie skłaniałam jéj bardzo do tego; bałam się jéj spotkania z doktorem, i niewczesnego wyświetlenia zagadki, która dla obu stron powinna była zostać tajemnicą. Umyśliłam za to jechać sama do Warszawy na całe trzy tygodnie. Kornelka miała ochotę towarzyszyć mi w téj podróży, na co ojciec przystał z ochotą.

Wyjechałyśmy w połowie czerwca, już nie dyliżansem jak niegdyś, ale pięknym, wygodnym powozem, który miałam zatrzymać wraz końmi przez cały czas pobytu w Warszawie. Obecność Kornelki broniła mnie od dręczących myśli, podczas dwudniowéj podróży. Przyjechawszy więc do matki, lepiéj mogłam utaić smutny stan serca mego. Czegóż jednak oko matki nie dostrzeże? Ani rumieńce wyciśnięte letnim upałem, ani kłamany uśmiech na ustach, ani sztuczna wesołość, nie zdołały jéj uwieść. Miłość macierzyńska ma w sobie macierzyńską moc, i czyta w sercu dziecka, jak jasnowidzący w zamkniętéj księdze. Droga matka nie badała mnie jednak, widząc że unikam wszelkiego zwierzenia. Posłużyła mi do tego obecność Kornelki, któréj z obowiązku, nie mogłam spuszczać z oka na chwilę.

Korzystałam z pobytu mego w Warszawie, aby dać poznać nasze miasto, młodéj wychowance mojéj: Codziennie też odbywałyśmy wraz z matką przejażdżki do Wilanowa, Królikarni, Jabłonny, Bielan i innych miejsc okolicznych. Często też bywałyśmy i w teatrze,

słowem żyłyśmy na zewnątrz, co dziwnie sprzyjało moim planom, utrudniając poufałą rozmowę z drogą matką.

Wyjechałam nakoniec w pierwszych dniach lipca; matka z bratem odprowadziła mnie na Pragę, i pożegnała ze łzami. W oku jéj odbijał widoczny niepokój, a ręka jéj drżała, kiedy kreśliła krzyżyk nad głową moją.

Odmęt miejski wcale mnie nie uspokoił. Zmniejszym też żalem niż zazwyczaj, opuściłam Warszawę. Pragnęłam jak najprędzéj wrócić do cichego i jednostajnego życia, i wziąć się z nową gorliwością do pracy.

W kilka dni po naszym powrocie, przybył troskliwy doktór. Wypytał Kornelkę o zdrowie, ale ze mną unikał wyraźnie rozmowy: czasami tylko uważałam, jak badawczo śledził mnie okiem, zwłaszcza kiedy kasztelanic zagadnął do mnie jakie słowo. Przez cały następny miesiąc nie pojawił się w Piaskach; myśleliśmy że słaby, kasztelanic odwiedził go sam, lecz oprócz złego humoru, nie znalazł w nim najmniejszéj odmiany.



Czy to się godzi, tak nieufać staremu przyjacielowi?

Przebiegł lipiec, minęła połowa sierpnia, nadszedł uroczysty dzień Matki Bozkiéj. Poszłyśmy wszyscy na summę. Po skończonem nabożeństwie, wyszłyśmy z ławki obie z Kornelką, i zwróciły się ku drzwiom. Wyobraźcie sobie moje dziwienie, gdym spostrzegła doktora z panem Karolem. Postać doktora dziwnie była rozpłomieniona. Na cmentarzu zbliżył się do mnie, ujął rękę moję, i z uczuciem przycisnął ją do ust. Pan Karol zbliżył się także i ukłonił; ale dostrzegłam cień smutku na jego czole.

— Zamawiam sobie chwilkę osobnéj rozmowy — rzekł doktór.

Zmieszałam się nie mogąc zrozumiéć o co idzie, ale przeczucie nie wróżyło mi nic złego.

Po obiedzie, podczas gdy kasztelanic zasiadł do szachów z Karolem, doktór wyprowadził mnie do ogrodu, w tę samą lipową ulicę, która była świadkiem, niejednéj już naszéj rozmowy.

— Czyż to się godzi, moje dziecię — rzekł — nie ufać staremu przyjacielowi, i tak go dręczyć napróżno? Czyż się godzi taką wagę przywiązywać do marnych pieniędzy, które jak

mi Bóg miły, nie dały nikomu szczęścia.

— Jakto? zkądże pan o tém wiesz, doktorze —zagadnęłam zdumiona.

— Patrz, czy poznajesz to pismo?— to mówiąc ukazał mi list matki.

Rozpłakałam się rzewnie, czytając słowa, pełne miłości i niepokoju. Dobra matka, znając dawno przyjaźń moję z doktorem, błagała go, aby mnie wybadał ostrożnie i pomału. Żaliła się na wielką zmianę jaką we mnie dostrzegła, a wpadając na rozmaite domysły, wspomniała i ową okoliczność pieniężną, która rzeczywiście była głównym powodem moich ukrytych cierpień. Dobra matka nie wiedząc prawdy, nie mogła sobie tego dokładnie wytłumaczyć, wiedziała żem nie była nigdy chciwą, błąkając się więc myślą na różne strony, przyszła do wniosku, czyli nie posądzam brata mego o podstęp, i czy w istocie wierzę, iż prostym wypadkiem stracił powierzoną mu summę. Dlatego to wyznała całą rzecz doktorowi; a ta okoliczność wszystko w jednéj chwili rozjaśniła.

— Drogie dziecię, rzekł— moja wtém wina, a nie twoja: pocóżem wspomniał o tych nie-

szczęśliwych pieniądzach, które tyle narobiły nam kłopotu. Biedny Karol nie mógł mi darować, jakem dziś rano powiedział mu prawdę, i przyznał się do winy.

— Ona gotowa myśléć — mówił zaciskając ręce z boleścią, — że mi idzie ote marne kilka tysięcy; oh wuju! na cóżeś mnie naraził!

— Mój chłopcze—odrzekłem—jakem rzecz popsuł, tak ją téż i naprawię; ufaj mi tylko, i bądź dobréj myśli, raz jedyny w życiu byłem oględny, i to mi na złe wyszło. Niech licho weźmie pieniądze, sam szatan chyba je wymyślił, skoro tyle zamieszania sprawiają między ludźmi.

Nie było na to co odpowiedziéć, podałam więc rękę doktorowi, i zapewniłam go, że nie mam najmniejszego żalu. Tego dnia jeszcze napisałam do matki, doktór napisał także; sam Karol miał nazajutrz zawieść te listy do Warszawy. W tydzień już był z powrotem wraz z ukochaną matką, która przybyciem swojém sprawiła mi najmilszą niespodziankę. Zaręczyny moje z Karolem nastąpiły natychmiast, ślub miał się odbyć w listopadzie.

W środku października opuściłam więc Piaski, po pięcioletnim pobycie w domu kasztelanica, gdzie tyle pozostawiłam wspomnień. Ze łzami żegnałam Kornelkę, którą pocieszała jedynie myśl, że wkrótce powrócę znów w te strony, i zamieszkam w pobliskiem miasteczku. Kasztelanic okazał niezwykłą wspaniałomyślność, a co więcéj delikatność uczuć, jakiéj niktby się po nim nie spodziewał. Złożył na ręce doktora 10,000 złotych, prosząc go aby się zajął urządzeniem przyszłego mego domu i gospodarstwa.

Po długich i twardych próbach, Bóg dał mi nakoniec jedyne szczęście jakiego człowiek może się spodziewać na ziemi. Wkrótce dobiega mi ćwierć wieku pożycia mego z najlepszym mężem, pożycia niezaćmionego żadną chmurą. Matka mieszkała z nami, i dotąd Bóg utrzymuje ją w zdrowiu, i dozwala aby obecność jéj ściągała błogosławienstwo na domowe ognisko nasze. Raz tylko do roku opuszcza mnie na Wielkanoc: te święta bowiem zwykła przepędzać u brata mego Józefa, który ożeniwszy się, stale zamieszkał w Piotrkowie.

Doktór czując zwątlone siły, osiadł także przy nas, ale niedługo Bóg pozwolił nam cieszyć się jego życiem. Umarł po całorocznem cierpieniu błogosławiąc nas i nasze dzieci. Po śmierci jego, mąż mój zaczął się starać o urząd w Warszawie, który nakoniec otrzymał. Opuściłam augustowskie bez żalu, bo i Kornelka poszła za mąż, i wyniosła się w Kujawy, a i kasztelanic, u którego z wiekiem rozbudziło się tkliwsze uczucie, więcéj przesiadywał u córki, niż w własnym domu. Panna Salomea tylko mieszkała stale w Piaskach, ze swemi kanarkami, psami i kotami, w których towarzystwie wcale za ludźmi nie tęskniła.

Otóż i koniec historyi mojéj, drogie dzieci—rzekła pani Milecka;—zwykła to powieść, bez nadzwyczajnych wypadków, można z niéj jednak wyciągnąć tę prawdę, że człowiek ufnością w Bogu, modlitwą i pracą może przyprowadzić do ładu splątany wątek życia, albo jak mówi przysłowie, że każdy jest własnego szczęścia kowalem.

— O prawda, prawda!—zawołały panienki jednozgodnie.

— Ja byłam pewna że pani nie wytrwa w domu tego nieznośnegokasztelanica,—rzekła Bronisława—gdybym była w jéj miejscu—uciekłabym natychmiast.

— Nie mów tak o nim, Bronisiu—odrzekła Karolina — widziałaś jak się wkońcu odmienił.

— Kornelka także—dodała Marya—doprawdy żebym się tego po niéj nie spodziewała.

— Ja też nauczona doświadczeniem—odparła pani Milecka, nigdy odtąd nie zwątpiłam o sercu żadnéj z wychowanek moich, i mam przekonanie, że w każdém jakkolwiek zepsutem, można zniweczyć złe skłonności, a rozwinąć szlachetniejsze uczucia.

Bronisława milczała, rumieniec oblał jéj policzki i czoło, sumienie bawiem wyrzucało éj wiele złego. Ale uznanie się w błędzie, było już pierwszym krokiem do poprawy.

— Pani przynajmniéj miałaś to wielkie szczęście, żeś nie była sierotą — rzekła Karolina.— Myśl o matce, jéj opieka, jéj pieszczota i błogosławieństwo, dawały ci siłę do łamania się z życiem.

— A Bóg nie jestże ojcem naszym — odrzekła pani Milecka;—Jego Opatrzność czyliż nie czuwa nad nami? Jego miłość nie jestże dla nas nieustannem źródłem natchnienia i łaski? O doprawdy! umiejmy tylko czerpać w tém Bozkiem źródle; miejmy nadzieję, wiarę, miłość i dobrą wolę, a boleść sieroctwa nie złamie serc naszych, ale raczéj podźwignie je w górę od ziemi, i po tym szczeblu zbliżymy się łatwiéj do Boga.

OGNISKO DOMOWE.

OGNISKO DOMOWE.

Szary dzień grudniowy był na schyłku. Grube chmury barwy ołowianéj ciężyły ponad ziemią, która smutno wyglądała, czarna i naga, nieprzysłonięta nawet śniegiem. Wielkie stada wron i kawek, ulatując nizko i kracząc przeraźliwie zapowiadały śnieżną zamieć. Wicher dął i głuchym pogwizdem zdawał się przywtarzać tym wróżbom.

Drogą wiodącą od Łęczycy do Kutna, toczył się poczwórny powóz z oknami, wypakowany mocno, a za nim zdążała bardziéj jeszcze wypakowana bryka, na któréj jakby na wieży, na stosach pudeł, kuferków i tłomoków siedziała

młoda pokojówka Basia. Rumiane jéj policzki i oczy ciemne połyskiwały kiedyniekiedy zpod wielkiéj chustki w kraty, którą obwiązała głowę i część twarzy przed mrozem. Przy niéj siedział stary Antoni kredencerz w czapce baraniéj i kożuchu. Oboje milczeli, Antoni bowiem nie był usposobiony do rozmowy, i półsłówkami tylko zbywał ciekawe zagadnienia Basi.

W powozie także panowało milczenie, lecz na twarzach podróżnych odmienne odbijały uczucia. W głębi siedziała kobieta czterdziestoletnia, przystojna jeszcze i świeża, przybrana w szubkę podbitą lisami, i kapelusz czarny aksamitny. Obok niéj starszy o kilka lat mężczyzna obwinięty w szopy, drzymał czy też dumał z przymkniętemi oczyma; na wysokiém czole znać było widoczny niepokój, a cera zwiędła i pożółkła zapowiadała zły stan zdrowia, lub też może stłumioną w duszy troskę. Mimo to rysy kształtne i pełne znużenia, wąs długi nieco przypruszony wczesną siwizną i takież same włosy, wysuwające się na skroniach zpod

czapki podróżnéj, nadawały mu piękną i poważną postać.

. Naprzeciwko rodziców, siedziąły obok siebie dwie młode i ładne panienki. Starsza blądynka z błękitnem okiem i kształtnemi rysami, podobną była do ojca, młodsza czarno-oka brunetka, wiernym była obrazem matki. Obie świeże były jak kwiaty polne, żadną jeszcze niezłamane burzą, obie wesołe i szczebiotliwe niby ptaszęta leśne. Nieudana radość jaśniała na ich twarzy, i nic w tém nie było dziwnego; osiągły bowiem cel życia oddawna upragniony, jechały do Warszawy na karnawał. W ich bujnéj wyobraźni snuły się bale, widowiska, koncerta, białe i różowe sukienki, kwiaty, muzyka, taniec, słowem wszystkie błyskotki światowego życia, tak ponętne w marzeniu, tak czcze w rzeczywistości.

Dwie panienki, mimo szczeréj chęci do rozmowy milczały, aby nie obudzić śpiącego ojca. Matka z chlubą poglądała na nie, i z młodzieńczą żywością snuła bogate pasmo macierzyńskich nadziei. Niekiedy jednak, gdy spojrza-

ła z boku na męża, smutek zasępiał gładkie jéj czoło, a na ustach znikał swobodny uśmiech.

Powóz toczył się zwolna po nieutartéj drodze, daremnie fornal zacinał jak mógł czwórkę roboczych siwków; spracowane konie szły niesporo, a lubo nowe czekały w Kutnie na przeprząg, mrok rozpościerający się coraz bardziéj, ostrzegał że trudno będzie zjechać przed północą do Łowicza.

Ciemno już było gdy podróżni nasi wjechali w bramę obszernego Kutnowskiego zajazdu. Pan Poleski — tak się nazywał ojciec rodziny, otworzył oczy, potarł ręką szerokie czoło, wysiadł pierwszy z powozu i podał rękę żonie: obie panienki wyskoczyły lekko, nie dotykając prawie stopni, i poszły za rodzicami do osobnego pokoiku, gdzie im niebawem przyniesiono herbatę i świeże bułeczki.

— Już piąta — rzekł pan Poleski dobywając zegarek — o ósméj będziemy w Pleckiéj Dąbrowie, popas potrwa przynajmniéj do dziesiątéj, nie staniemy téż w Łowiczu chyba na dwunastą lub pierwszą.

— Wszak pociąg odchodzio szóstéj zrana?— zagadnęła starsza z panienek Zofia.

— Tak, o szóstéj—odparła matka—możemy jeszcze odpocząć kilka godzin.

— A wreszcie—przerwała żywo czarnooka Marya—kto z nas nie dośpi w Łowiczu, może to powetować w Warszawie.

— Nie rachuj na to, Maryniu—zawołała Zofia wesoło — w Warszawie czeka nas niemało zajęcia. Musimy zaraz kupić sobie płaszczyki i kapelusze, a potém oddać do roboty suknie na bal Sylwestrowy. Magazyny jak mówią bardzo zajęte przed nowym rokiem. Żeby nam aby na czas wykończono nasze stroje.

— Coby zaś nie mieli wykończyć ?— przerwała siostra —jeszcze mamy blizko dwa tygodnie czasu.

W téj chwili drzwi się otworzyły i starzec blizko siedmdziesięcioletni, siwy jak gołąb, lecz krzepki i rumiany wszedł do pokoju z młodzieńczą prawie żywością.

— Co widzę? szanowny major — zawołał pan Poleski, stawiając filiżankę z herbatą na stole, i wyciągając obie ręce do przybyłego.

— Witaj mi kochany Stasiu!— odparł major—kopę lat nie widziałem was jak mi Bóg miły; aleś mi cóś pobladł i posiwiał: czyś ty aby nie chory?

— Nic mi nie jest—odparł zagadniony—ale co kochanego majora, to i nie pytać o zdrowie,. zawsze czerstwy i pełen życia.

— Trzymam się jak mogę, odrzekł major— a ty jakże się masz Karolciu, zapytał ściskając panię Poleską. Zapomnieliście coś .o krewnych, oj tak się nie godzi, nie godzi, jak mi Bóg miły! Przecież to matka moja i twoja babka rodzonemi były siostrami, i pamiętam kochały się serdecznie. Czyż my w trzecim zaledwie stopniu, mamy być obcymi dla siebie?

— Uchowaj nas Boże od tego drogi wujaszku! odparła pani Poleska—nie obwiniaj serc naszych, lecz oddalenie i niemożność. Wszakże my mieszkamy pod Sieradzem. Państwo w okolicach Kutna, trudno też mimo najszczerszéj chęci, widywać nam się często.

— Ba! chcącemu niema nic trudnego— rzekł major—tak mówi stare przysłowie.

— Jakże się ma kochana wujenka?—zagadnęła pani Poleska.

— Jeżeli szczera twoja troskliwość o jéj zdrowie—odparł major—przekonajże się sama. Dziś przynajmniéj nie masz prawa tłumaczyć się oddaleniem, boć ztąd nie więcéj jak mila do Kalinówki. Cożty na to Stanisławie?

— Nie miałbym nic przeciw temu, ale widzi szanowny major, spieszymy się do Warszawy, czeka już na nas zamówione mieszkanie.

— Warszawa nie zając nie ucieczе kochanku--przerwał wesoło major. Wreszcie trzymać was gwałtem nie będziemy, kiedy wam już tak pilno; przez jutro tylko zabawicie w Kalinówce; możecie konie odprawić do domu, bo dla nich tam pewno nie zabraknie roboty, a ja was odeślę do Łowicza. No zgoda na to, nieprawdaż?

— Zgoda, zgoda—odparli państwo Polescy, panienki spuściły oczy i smutno poglądały w ziemię.

— Poznajcież mnie z córkami waszemi—rzekł major, bo może i nie słyszały nigdy o starym dziadku.

— Miłe dziewczątka doprawdy—dodał zbliżając się do panienek—jakże to wyrosło nigdybym ich nie poznał; i nic dziwnego, bo kiedym widział starszą, ledwie się czołgała na czworakach po ziemi, a młodsza była jeszcze w kolebce.

To mówiąc pocałował obie panienki w czoło.

— Mam i ja wnuczki prawie w tym wieku—dodał—dobrze że się też i poznają. Ale komu w drogę temu czas: konie zapewne już przeprzęgli, widziałem jak Antoni uwijał się żywo koło nich; gdyby nie ten poczciwy stary, byłbym się o was nie dowiedział; ale poznał mnie odrazu, choć mnie nie widział z górą lat piętnaście. No siadajże ze mną Stasiu, pojedziemy naprzód i pogadamy w drodze. Ucieszy się téż moja żona z przybycia takich gości.

W kilka minut potém podróżni nasi wyruszyli z Kutna i minąwszy miasteczko zjechali na lewo z bitéj drogi. Pan Poleski jechał z majorem krytą bryką, pani Poleska z córkami powozem, do którego zabrała, nawskróś przeziębłą Basię.

— Kochany wuj!—rzekła matka—cieszę się szczerze ze spotkania, lubo mi ten wstęp wcale nie na rękę.

— Ani nam także, mamo—przerwała Marynia—doprawdy że nie wykończą nam sukien na bal Sylwestrowy.

— Kto wie? poco się troszczyć przed czasem—odrzekła żywo Zofia.— Ale wiesz co, jam doprawdy niespokojna o ojca: uważałaś jaki on smutny? Pewna jestem, że nie spał, udawał tylko śpiącego żeby mógł myśléć bez przeszkody.

Pani Poleska westchnęła, znała ona dobrze powód trosk mężowskich, wiedziała z jaką trudnością przyszło mu pożyczyć pieniędzy na ową podróż do Warszawy, ale zaślepiona nierozsądną miłością macierzyńską, oddala od siebie smutne myśli, przewidując dla córek wielkie powodzenie w świecie, a kto wie, może i świetne małżeństwa, które w jéj mniemaniu miały wynagrodzić poniesione koszta i zabiegi.

Dziwnie sprzeczne uczucia krzyżowały się też w sercu tak matki jak i córek. Wszystkie trzy uszczęśliwione były z podróży, i marzyły

o Warszawie jakby o świecie zaklętym, a jednak smutek ojca ciężył im kamieniem na duszy, i mącił całą radość. Milczały też głęboko: widok pięknéj wsi i obszernego dworu, wyrwał je wreszcie z zamyślenia.

— Czy to już Kalinówka? — zagadnęła Marynia.

— Tak jest—odparła matka—poznaję ten dom w którym niejednę miłą spędziłam chwilkę u kochanych wujostwa. Nic się tu doprawdy nie zmieniło. Taż sama lipa przed dworem, tenże sam gołębnik na dziedzińcu, też same sztachety o murowanych słupach.

W téj chwili powóz zatrzymał się przed staropolskim modrzewiowym dworem, o wysokim spiczastym dachu, pokrytym gontami. Major sam otworzył drzwiczki, podał rękę matce i córkom, i wprowadził je do obszernéj sieni, gdzie na ścianach wisiały rzędem wieńce z rozmaitego zboża i kilku zabitych zajęcy. Majorowa posłyszawszy turkot pojazdu, wybiegła naprzeciw męża wraz z synową i dziećmi.

Nastąpiły serdeczne powitania. Podeszła gospodyni domu rada z przybycia niespodzie-

wanych gości, zajęła się niemi z prawdziwie staropolską gościnnością, i poprowadziła ich do sali. Pani Poleska nie mogła się dosyć wydziwić, że przez kilkanaście lat czas nie wycisnął prawie śladu na łagodnych rysach jéj oblicza, że bark jéj nie pochylił do ziemi, i nie zgasił blasku jéj oka, ani rumieńca na jagodach; dobroć połączona z powagą odbijała w jéj uśmiechu, i dziwnie miłym wyrazie ciemno-błękitnych oczu, a włos siwy, wyglądający zpod bieluchnego czepeczka, otaczał jéj czoło jakby srebrną aureolą.

— Gdzież Karol?—zagadnął major—czy jeszcze nie wrócił z Dąbrowy?

— Jeszcze nie, drogi ojcze—odrzekła pani Karolowa, miła trzydziesto-kilkoletnia kobieta, mała i szczupła, ubrana starannie, z prześliczną białą rączką, i pełnem wyrazu ciemnem okiem. To mówiąc zbliżyła się do ojca, i z poszanowaniem pocałowała go w rękę.

— Mój syn pojechał do Dąbrowy—rzekł major—miałem mu towarzyszyć, ale dziś nagły interes wezwał mnie do Kutna, czego bynaj-

mniéj nie żałuję, inaczéj nie byłbym was powitał w moim domu.

Obszerna sala, w któréj cała rodzina zebraną była przy okrągłym stole, miała cechę prawdziwie staropolską, i otoczona była że tak powiem ową atmosferą ciepła domowego, tak błogą dla każdego ktokolwiek nią odetchnie. Jasny ogień płonął na szerokim kominie, i oświecał błękitne ściany zawieszone kilku staremi portretami. Sprzęty skromne były, lecz wygodne i czyste. W oknach stały wazoniki z kwitnącemi hiacyntami, narcyzami i rezedą, których woń zaprawiała powietrze. Na wielkim stole, ustawionym w środku pokoju pod wiszącą u sufitu lampą, leżały rozmaite robotki kobiece, tylko co porzucone w bezładzie; przed wygodnem krzesłem z poręczami stało kółko do przędzenia, z nałożoną świeżo kądzielą, na którém majorowa przędła z upodobaniem w długie zimowe wieczory, podczas gdy trzy wnuczki naprzemiany, czytały głośno polskie książki. Przy ścianie stał otwarty fortepian, na pulpicie leżały polonezy Ogińskiego. Przed kominem spał ulubiony wyżeł ma-

jora, wierny towarzysz łowów, a kotka biała jak mléko, z czarnemi uszami i takąż łatką na głowie, przechadzała się poważnie po pokoju.

Liczna rodzina majora składała się z dziesięciu osób, z któremi niebawem poznają się czytelnicy nasi. Na czele jéj stali oboje majorostwo: on sam krzepki jeszcze starzec, mimo siódmego krzyżyka ciężącego mu na barkach. Żona o pięć lat młodsza od niego, była prawdziwym wzorem polskiéj matrony. Oboje pomimo poważnego wieku nie zdali jeszcze rządów Kalinówki na syna i synową, gdyż państwo Karolowie ani słyszéć o tém nie chcieli. Major czyli stary jegomość, jak go wszyscy nazywali, był zawsze głównym panem w gospodarstwie, majorowa główną panią w domu, a syn i synowa, zarządzali tylko tak zewnętrznem jak i wewnętrznem gospodarstwem, odnosząc się we wszystkiem do woli rodziców. I dziwna rzecz, mimo takiego stosunku, nigdy najmniejsza niezgoda nie powstała ztąd w owéj zacnéj rodzinie. Syn zasięgał w każdéj rzeczy rady ojca, i polegał na jego długoletniem doświadczeniu; ojciec z swéj strony nie zaślepiał

się bynajmniéj w zastarzałych przesądach ufając w rozum i postępowe wyobrażenia syna. Matka takiż sam stosunek zachowała z synową, którą kochała jakby rodzoną córkę, a synowa całą duszą przywiązana do męża, cześć i przywiązanie jakie miała ku niemu, przelała na zacną jego matkę. Wszyscy więc żyli po Bogu w zgodzie i jedności, każde z nich skore do poświęcenia, wprzód myślało o drugich niż o sobie, i wspólna miłość silnym węzłem łączyła owe serca, i roztaczała na cały dom to żywotne ciepło, które jak mówiliśmy wyżéj napełniło go atmosferą szczęścia i pokoju.

Trzy córki państwa Karolów rozwijały się też jak kwiaty pod wpływem tego ciepła. Najstarsza z nich Józia, śliczna blondynka z okrągłą twarzyczką i szafirowemi oczyma, miała już rok szesnasty, Helenka skończyła lat czternaście, a najmłodsza Rózia dobiegła zaledwie dwunastu. Wszystkie trzy pobierały w domu wychowanie, pod okiem troskliwéj i rozsądnéj matki, która zajęta oprócz tego staraniem około młodszéj dziatwy, nie mogąc sama podołać wszystkiemu, przybrała sobie do pomocy pan-

nę Paulinę, dwudziesto-kilkoletnią osobę, pełną zalet umysłu i serca. Panna Paulina dała już dowód nauczycielskich zdolności, wychowawszy jaknajpiękniéj w sąsiedztwie młodą jedynaczkę, którą niebacznie rodzice psuli od lat dziecinnych.

Młode panienki poznały się wkrótce nawzajem; i zasiadłszy przy osobnym stoliku, rozmawiały swobodnie. Major z panem Poleskim zapaliwszy fajki osadzone na długich wiśniowych cybuchach, gawędzili przy kominku. Majorowa bawiła Panią Poleską, podczas gdy pani Karolowa krzątała się około herbaty, a dwaj chłopaczki, najmłodsze z rodziny siedząc u boku babuni, przeglądali książki z obrazkami.

Podawano właśnie filiżanki, gdy turkot dał się słyszéć na dziedzińcu.

— Ojciec przyjechał—zawołały dzieci uradowane, i pobiegły co żywo do sieni.

— Tak, to zapewne Karol—rzekł major—dłużéj się coś zabawił niż zwykle.

W tejże chwili wszedł pan Karol, mężczyzna przeszło czterdziestoletni, pięknych rysów twa

rzy, i dziwnie pogodnego wejrzenia: zbliżył się najprzód ze czcią do obojga rodziców, pocałował ich w rękę, poczem uprzejmie powitał niespodziewanych gości, uścisnął żonę i córki.

Służący w téj chwili oznajmił wieczerzę. Major podał rękę pani Poleskiéj, pan Poleski poprowadził majorową, i wszyscy przeszli parami do jadalnéj sali.

Parę godzin jeszcze po wieczerzy przeciągnęła się poufała rozmowa. Zegar nareszcie uderzył jedenastą. Major powstał, i tém samém dał hasło pożegnania. Pani Karolowa z córkami zaprowadziła gości do dwóch przeznaczonych im pokoików. W jednym z nich płonął jasny ogień. Gdy pani Karolowa odeszła, pan Poleski usiadł przy kominku z fajką, i dumał głęboko patrząc w iskry wzbijające się ku górze.

— Lepszy tu państwo nocleg mają niż w Łowiczu—rzekł stary Antoni przystępując do komina.— Oj co się też to dzieje na dworze! trudnoby i psa wypędzić. Zawierucha taka straszna, że człek i świata nie dojrzy, a wicher dmie jak z miecha. Znać opatrzność Bozka

chciała państwa uchronić od przygody, i sprowadziła ich pod ten dach, inaczéj mogłoby nastąpić nieszczęście.

— Najgorsza rzecz—odparła pani Poleska—że jak śniég zawieje kolej, to się i za tydzień nie dostaniemy do Warszawy.

— Być może—odparł mąż—co do mnie, nie widzę w tém nic strasznego.

Antoni widząc że go pan nie potrzebuje, wyszedł za drzwi. Marynia i Zosia rozbierały się w przyległym pokoju. Państwo Polescy zostali sami przy kominie.

— O, ja wiem że tobie wszystko jedno, czy dziewczęta użyją trochę świata, czy też skwaszą w domu karnawał—rzekła żona cierpko.— Doprawdy, że nie pojmuję w tobie takiéj obojętności.

— Nie obwiniaj mnie o to, Bóg widzi że je kocham, ale nie widzę żeby bale i zabawy przyczyniły się do ich szczęścia.

— Co też ty mówisz, mężu! pewna jestem że jak się pokażą w resursie, zawrócą głowy wszystkim. Zosia urodą swoją zgasi najpierwsze piękności warszawskie, a i Marynia lubo

nie tak piękne ma rysy, ślicznie s ię wyda w balowym stroju.

— Przypuszczam że się mogą podobać, ale i cóż im z tego przyjdzie? Wszak wiesz, że posagu im nie dam, a dzisiejsza młodzież więcéj waży złoto niż urodę.

— Są jednak i wyjątki—przerwała żona—wreszcie w Warszawie nikt nie zna naszych majątkowych stosunków, trzeba więc popro· bować szczęścia.

— I oszukiwać świat fałszywym blichtrem—dorzucił szyderczo pan Poleski—jak to słusznie twój wuj powiedział.

— Mój wuj zacny człowiek, ale przytém dziwak, pełen zastarzałych przesądów.

Chwilę jeszcze trwał spór dwojga małżonków, w którym żadne nie przekonało drugiego. Pan Poleski ustąpił wreszcie dla miłéj spokojności.

Zosia i Marynia tymczasem szeptały w przyległym pokoiku między sobą, żaląc się na ten nieszczęśliwy śnieg, który się rozpadał nie w porę. W godzinę potém wszyscy spali znużeni całodzienną drogą, i nie słyszeli jak śnieg

bił w okna, a wicher świszcząc przeraźliwie, zrzucał poszycia z dachów, i łamał gałęzie drzew w ogrodzie.

Nazajutrz zrana podróżni nasi dłużéj niż zwykle zaspali; a gdy po ósméj Basia odemknęła okiennicę, obie siostry krzyknęły przerażone wyjrzawszy na świat: wszystko bowiem, ziemia i niebo, i dachy i drzewa i płoty jednę przybrały barwę, śnieg gęsty sypał z góry, a wiatr podrywał go z ziemi na nowo tworząc miejscami ogromne zaspy śnieżne.

— Patrz, patrz Zosiu, co się dzieje—rzekła matka załamując ręce.

— Za nic nasz bal Sylwestrowy i nasze różowe sukienki — przerwała Zosia.

— No, ubierajcież się co żywo—rzekła matka—trzeba nam zejść na śniadanie; wujenka mówiła mi że pije zwykle kawę o dziewiątéj.

Obie panienki ubrały się naprędce w ładne wełniane szlafroczki brązowe, włosy zaczesały gładko, odkrywając kształtne czoła, i poszły z matką do znanego nam pokoju, gdzie zastały całą zgromadzoną rodzinę. Na okrągłym stole stały już przygotowane filiżanki; major siedział z fajką przy kominie i rozmawiał o go-

spodarstwie z Karolem. Majorowa robiła pończoszkę dla wnucząt, pani Karolowa krzątała się koło kawy, Józia pomagała matce, a młodsze dziewczęta trzymając książki w ręku douczały się lekcyi zadanéj przez pannę Paulinę.

Po śniadaniu panowie odeszli, pani Poleska wzięła zaczętą siatkę ze stołu, i robiła ją siedząc na wygodnéj kanapie obok majorowéj. Pani Karolowa, która wstała o szóstéj, a wszystko po większej części załatwiła już w domu, usiadła także przy stole, dopomagała matce w utrzymaniu zajmującéj rozmowy. Młodsze dziewczęta poszły z panną Pauliną do osobnego pokoju na naukę, która w tym dniu miała się wcześniéj zakończyć; Józia tylko pozostała z Zosią i Marynią. Wszystkie trzy zasiadły z robotkami przy osobnym stoliku pod oknem, a przy miłéj rozmowie nie myślały nawet o śnieżnéj zamieci. Tkliwe współczucie powstało odrazu w tych prostych sercach, a szczere zaufanie ożywiało ich słowa. Marynia i Zosia mówiły o Warszawie, o spodziewanych balach i widowiskach, opowiadały zeszłoroczną wycieczkę do Ostendy. Józia słuchała ich z zaję-

ciem, lecz bez najmniejszéj zazdrości, z nieporównaną prostotą zdawała im sprawę ze swych codziennych zatrudnień, i tak żywo umiała im przedstawić szczęście domowe z'ukochaną rodziną, przy ciągłéj i pożytecznéj pracy; że obie panienki widząc jéj prawdziwą swobodę, przekonały się, że i bez tego co świat zowie zabawą, można pędzić życie wesoło i szczęśliwie.

Gdy dwunasta wybiła na zegarze, Józia powstała żywo:

— Darujcie mi—rzekła—ale muszę koniecznie odejść od was, i zanieść lekarstwo biednéj parobkowéj Matusce, któréj dzieci chore na kaszel. Za kilka minut powrócę.

— Jakto? pójdziesz na taki czas — zawołała zdziwiona Marynia — wiatr cię gotów porwać i zanieść gdzie daleko.

— Ej, nie lękam się tego, ufam w moję siłę że się utrzymam na nogach.

— A nie mogłażbyś się kim wyręczyć?

— O nie! ja sama wyręczam tylko mamę; gdybym jéj nie wyręczała, poszłaby sama, i zaziębiła się jeszcze. Jam przecież młodsza i silniejsza.

— Wiesz co Józiu? pójdę i ja z tobą—zawołała żywo Marynia — idźmyż więc.

— Kiedy tak, to i ja pójdę z wami—dodała Zosia.

I wszystkie trzy wyszły do pokoiku Józi, odziały się w grube płaszczyki, obwiązały głowy chustkami, zaopatrzyły nogi w kalosze, i śmiejąc się pobiegły wesoło przez opłotki ku wsi, tonąc po kostki w śniegu.

Biedna Matuska ucieszyła się niewymownie na widok ukochanéj panienki, która oprócz lekarstwa dla chorych dziatek, przyniosła jéj spory zapas kaszy, mąki, masła, miodu i suszonych owoców; dzieci całowały z uczuciem jéj ręce, a poczciwa matka błogosławiła ją ze łzami.

Za powrotem Józia wstąpiła jeszcze do dwóch czy trzech chat, wypytywała pilnie o skutek danych przez siebie lekarstw, a wszędzie, gdziekolwiek się ukazała, witano ją jakby Anioła opiekuńczego. Nakoniec zaprowadziła młode przyjaciołki do ochronki wiejskiéj, gdzie pod dozorem podeszłéj niewiasty, bawiło się grono drobnych dziatek. Wszystkie dzieciny otoczy-

ły swoję kochaną panienkę, czepiając się jéj sukni i całując ją w ręce z nieudaną radością. Józia wypytała pilnie dozorczynią o ich sprawowaniu; napominała jedne łagodnem słowem, starszym kazała przeczytać przy sobie po kilka wierszy, młodszych wysłuchała pacierza, a żegnając je, dała każdemu po jabłuszku lub sucharku.

Panienki nasze wróciły do domu z lekkiem sercem i swobodną myślą, wiatr zimowy wycisnął hoże rumieńce na ich twarzy, a ciepło kominka tem milsze im się wydało, po zewnętrznéj zamieci. Reszta dnia zbiegła w mgnieniu oka, o szaréj godzinie wszystkie trzy wygrywały na wyścigi poważne polonezy i skoczne mazury, a gdy zapalono lampę, zasiadły z robotą przy okrągłym stole. Majorowa jak zwykle przędła na kółku, major z Karolem i z panem Poleskim paląc fajkę przy kominku, rozpowiadali różne przygody z czasów pamiętnego odwrotu wojsk Napoleońskich, gdy śnieżna zamieć omało go nie przysypała nad Berezyną, i tylko ocalał wyraźnym cudem Opatrzności.

Pod noc śnieg grubszemi począł padać płatami, a wicher wzmógł się z większą jeszcze gwałtownością.

Pan Karol opuścił na chwilę towarzystwo, i wziąwszy w rękę zapaloną latarkę, poszedł do stajni i do obory, aby się przekonać naocznie czy konie i woły mają nałożony obrok, trzymając się wiernie przysłowia, iż oko pańskie konia tuczy.

— Wiesz co, mój Stanisławie, rzekł wracając do pokoju, że niepodobna wam myśléć jutro o dalszéj podróży. Pociąg w żaden sposób nie może iść na taką zamieć.

— Już tylko cztery dni do świąt — rzekła niespokojnie pani Poleska — a mamy niemało do załatwienia.

— Trudno jednak walczyć z niepodobieństwem—odrzekł mąż wytrząsając popiół z fajki.

— Zostalibyście oto lepiéj z nami przez święta— zagadnął major. — Warszawa nie uciecze, dosyć się w niéj nabawicie do zapust.

— Zresztą jeżeli chcecie—przerwał pan Karol—poślę jutro rano do Łowicza z zapytaniem czy pociągi chodzą.

Wszyscy zgodzili się na to. Józia pragnęła z całéj duszy żeby śnieg zatrzymał gwałtem w Kalinówce miłych gości, a i dwie panny Poleskie, pociągnięte urokiem jéj towarzystwa, coraz mniéj myślały o różowych sukienkach i balu Sylwestrowym.

Dzień następny zbiegł prędko, równie jak i poprzednie; wieczorem powrócił konny posłaniec z Łowicza, z listem od zawiadowcy kolei, oznajmiającym że pociągi nie chodzą od dwóch dni pomiędzy Łowiczem a Warszawą. Stosownie do prośby pana Karola, uprzejmy zawiadowca przyrzekł, iż skoro tylko kommunikacya znów otworzoną zostanie, natychmiast uwiadomi o tém przez umyślnego posłańca. Pan Poleski dość obojętnie przyjął tę wiadomość, ale żona jego zasmuciła się widocznie. Zosia i Marynia, widząc prawdziwą radość Józi, nie miały serca okazać niezadowolenia, mimo że w istocie pilno im było do Warszawy. Śnieg tymczasem jak padał tak padał. Na dzień przed wigilią uspokoił się dopiéro, jakoż wieczorem tego dnia przybył z Łowicza list z oznajmieniem, że pociąg wyruszy nazajutrz.

— Do dziś bylibyśmy wam pozwolili jechać, rzekł major—skoro wam się tak spieszy, ale co jutro, to jak mi Bóg miły nie wypuszczę was z domu. Piękna rzecz, ażeby goście, a do tego blizcy krewni, mieli w wigilią opuszczać Kalinówkę? Jeszcze takiego wypadku nie było i nie będzie dopóki ja żyję, a i po mojéj śmierci, Karol jak mniemam przechowa wiernie obyczaj staropolskiéj gościnności.

— A ja dodam jeden jeszcze powód—rzekła majorowa—który pewna jestem skłoni was do pozostania z nami. Wszakże to jutro Adama, dzień imienia męża mego.

Na te słowa nie było co odpowiedzieć, pan Poleski podał rękę majorowi na znak zgody; pani Poleska pocałowała w ramię wujenkę, Józia i młodsze jéj siostry skakały w górę z ukontentowania, ściskając naprzemiany Zosię i Marynię, a te pociągnięte mimowoli radością krewniaczek, cieszyły się prawie zarówno z niemi.

WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA.

Nazajutrz wszystko w Kalinówce świąteczną przybrało postać, jako w dzień podwójnéj uroczystości: wigilii świąt i imienin kochanego dziadunia. Cała rodzina wcześniéj niż zwykle zebrała się w sali, a skoro major ukazał się we drzwiach, wszystkie wnuczki, nie wyłączając Zosi i Maryni, przyjęły go pieśnią, na nutę znanego powszechnie poloneza. Podczas kiedy pan'na Paulina przygrywała na fortepianie, one zaśpiewały zgodnym i czystym głosem:

Błogo patrzéć, kiedy wiosną
Młode drzewka w lesie rosną,
A stuletni dąb zielony
Wkoło tuli je ramiony,

On, co wzrosł korzenieniem w ziemi głąb,
Otacza je cieniem stary dąb.
Czy mróz ścina dąbki młode,
Czy je suszą letnie skwary,
On im swemi da konary:
W mróz osłonę, w spiek ochłodę.
On co wzrosł korzeniem w ziemi głąb,
Otacza je cieniem stary dąb.
O szczęliważ to rodzina,
Któréj strzeże dziadek siwy,
Co czas zbiegły przypomina,
Cnoty ojców pomnik żywy.
I dźwiga ramieniem domu zrąb,
Chroniąc go swym cieniem jakby dąb.

Umilkł śpiew, a chwilę jeszcze w sali uroczyste panowało milczenie. Stary major otarł nieznacznie łzę z oka, a potem zbliżył się do wnuczek, uścisnął je po kolei, i serdecznie podziękował pannie Paulinie za miłą niespodziankę, jaką mu sprawiła. Dziewczynki tymczasem składały mu różne dary i upominki: jedna ciepłe bóty krzyżową robotą, druga rogatą czapeczkę z barankiem wyrobioną na drutach, trzecia piękny worek do tytuniu w tureckim guście. Wkrótce zadzwoniły przed domem sanki,

i niebawem wszedł do pokoju sędziwy proboszcz ze wsi sąsiedniéj, dokąd była parafia z Kalinówki; niebawem przybyło też kilku życzliwych sąsiadów, podano opłatki i przekąskę. Wszyscy dzielili się wesoło, życząc sobie nawzajem dosiego roku, i serdeczna radość ożywiła całą rodzinę. Jakby na domiar jéj, słońce po raz pierwszy od tygodnia przebiło się jasnym promieniem przez mętne chmury, a te rozbiegły się w mgnieniu oka i odsłoniły czysty błękit, który ślicznie odbijał przy śniegu, zaściełającym dachy i ziemię.

Dzień przesunął się jak błyskawica; sąsiedzi poodjeżdżali do domów, każdy bowiem chciał przepędzić z rodziną ten dzień uroczysty. Ksiądz pleban tylko pozostał w Kalinówce do wieczora.

Skoro pierwsza gwiazda ukazała się na niebie, major powstał i wezwał obecnych do jadalnéj sali, gdzie czekała uczta zastawiona dawnym obyczajem na sianie, złożona z migdałowéj polewki, rozmaitych ryb, placuszków z makiem, owoców i bakalij. Rozochocony major wydobył z ukrycia parę butelek zapleśniałych mio-

du, który użyty w miarę, rozweselił obecnych, i tém bardziéj usposobił ich do serdecznéj pogawędki.

Gdy powstawszy od stołu wszyscy przeszli do błękitnéj sali, panienki na wezwanie pana Karola powtórzyły pieśń przy towarzyszeniu fortepianu; major z większém jeszcze rozrzewnieniem słuchał miłego śpiewu dziewczek, a gdy wszyscy obecni powtórzyli głośnym chórem ostatnią zwrotkę, przysłonił twarz rękoma, i z piersi jego ciche wybiegło łkanie.

— O tak, dzieci moje!—zawołał—dopóki mi życia stanie, będę was strzegł i chronił, jak stary dąb ochrania w lesie młode drzewiny od burzy i spieku letniego. Ale jeżeli Bóg ukrzepił mi barki, i dozwolił mi stać się dziś owym twardym i nieugiętym dębem, sprawiła to jedynie łaska Jego najświętsza, i opieka tych, których wizerunki tu widzicie. To mówiąc wskazał ścianę, na któréj zawieszone były portrety kilku starych przodków.

Głuche milczenie panowało w sali, wszyscy zwrócili wzrok na stare wizerunki, których

oblicza jakby rozpromienione zdawały się uśmiechać do obecnych.

— Nie zawsze ja byłem owym starym dębem, jakim mnie dziś widzicie—mówił major; i jam był wiotką trzciną, którą wiatr miota na wszystkie strony. Bolesne to wspomnienie, moje dzieci! ale błędy starych powinny posłużyć do zbudowania młodych pokoleń: zrzucę więc próżną pychę z serca, i wszystko wam opowiem jak było. Józiu, nałóż mi fajkę.

Dziewczynka pobiegła żywo na wezwanie dziadunia, wszyscy obecni obsiedli stół okrągły, a major zasiadł wpośrodku, najbliżéj komina, w wygodném krześle z poręczami; jedną ręką wziął fajkę, którą mu podała wnuczka, drugą podparł zorane czoło, i zamyślił się chwilę.

— Urodziłem się tu w Kalinówce—rzekł nareszcie stłumionym nieco głosem: pierwsze lata dzieciństwa przewiły mi się błogo, jak wianek z wonnych kwiatków; potém nastąpiły gorzkie łzy sieroctwa, i boleśniejsze łzy wyrzutu. Ale idźmy po kolei....

Wszystko tu było, pomnę, podobnie jak teraz, a jednak nie tak samo. Tenże dwór modrzewiowy stał jak dziś, ale jeszcze był nowy, bo go ojciec właśnie pobudował kiedym ja był w kolebce. I taż sama lipa ocieniała go wówczas, tylko że pień jéj o połowę był cieńszy, a konary nie przysłaniały jeszcze dachu. Na staréj gruszy przy kołowrocie lęgły się bociany, jak i teraz się lęgną, lecz grusza była inna: tamtę wicher powalił z korzeniem, a jam posadził drugą w temże miejscu. Przed dworem był tak jak dziś mały wirydarzyk, gdzie na grządkach obsadzonych bukszpanem matka hodowała własną ręką piękne lewkonie, gwoździki, lawendę i róże. Nawet i ten krzyż na rozstaju, dziś stary i omszony, był już i wtedy, postawiony ręką ojca, na pamiątkę urodzin swoich.

Pod owym to krzyżem, pamiętam jak dziś, modliłem się codziennie z matką i młodszym bratem, aby ojciec powrócił szczęśliwie z wojny. Jednak nie podobało się Bogu wysłuchać naszych modłów. Oj nigdy, póki żyć będę nie zapomnę, jak raz wieczorem bawiłem się z Igna-

siem na podwórzu: stara piastunka Frankowa łamała nam gałązki z lipy, a my sadziliśmy sobie ogródek. Matka siedziała na sosnowym klocu blizko bramy. Byłoto w lecie, słońce zaszło pogodnie za las, gęsta rosa spadła na murawę: nagle ziemia niby zadrgnęła, huk jakiś dziwny dobiegał zdaleka, jakby kto rąbał drwa w lesie.

— Co to jest—zapytałem Frankowéj z trwogą?—znać tajemne przeczucie ostrzegało mnie o nieszczęściu.

— Strzelają, mój Adasiu—odrzekła—Jezus Marya ratujcie ich!— i otarła łzę z oka, bo i ona biedaczka miała syna na wojnie.

— A gdzież to tak strzelają?—zapytałem nie rozumiejąc znaczenia tego słowa.

— Daleko, daleko, het tam za lasami, za górami. Oj nieszczęście, nieszczęście! Matko Bozka Jasno górska ratuj biedne sieroty.

Pobiegłem do matki, blada była jak śmierć, łzy biegły strugą po jéj twarzy, załamała ręce nieboga. Co chwila przykładała ucho do ziemi, a za każdym nowym hukiem zanosiła się od ciężkiego płaczu. Usiadłem przy jéj no-

gach, i patrząc na jéj łzy, płakałem pocichutku, sam nie wiedząc czego. Wtem dzwon zadzwonił na Anioł Pański w poblizkiéj wsi kościelnéj, matka zapłakała głośniéj jeszcze, uklękła, i mnie kazała uklęknąć przy sobie.

— Zmówmy pacierz za umarłych, moje dziecię—rzekła ze łkaniem—kto wie za kogo pójdzie modlitwa nasza do Boga.

Odmówiłem Anioł Pański razem z matką i sam nie wiem czemu, ojciec stał mi ciągle na myśli. Po modlitwie położyłem głowę na matczynych kolanach.

— Kiedy tatka powróci z wojny?—zagadnąłem niespokojnie.

— Nie wiem—odparła matka stłumionym od łez głosem—może nigdy—dodała ciszéj—Panie Twoja wola!

I łkając przycisnęła mnie do piersi.

Podano wieczerzę, matka nic nie wzięła w usta. Frankowa położyła mnie w łóżeczko, zasnąłem i przez całą noc ojciec stał mi ciągle na oczach; był blady i dziwnie zmieniony. Stanął niby nademną, i błogosławił mnie zupełnie tak jak wtenczas.

Kilka dni przewlekło się pomału, biednéj matce łzy z oczu nie osychały; czekała wiadomości z pola bitwy, te jednak nieprędko nadeszły, bo chociaż dwadzieścia mil zaledwie dzieliło nas od Maciejowic, nie mieliśmy wtedy ani żelaznéj drogi, ani nawet bitych gościńców. Wszystko jednak ma kres na świecie, skończyła się też i niepewność matki, a skończyła się w okropny sposób. Byłoto pamiętam w niedzielę; pojechaliśmy na mszę świętą do parafialnego kościoła: podczas nabożeństwa obróciłem głowę i zobaczylem rodzonego stryja, starszego brata mego ojca. Okrutnie był blady, niepodobny prawie do siebie; zaledwie żem go poznał. Po summie stryj zaprosił naszego plebana, starca siwego jak gołąbek, i wszyscy razem wróciliśmy do domu. Podano obiad, nikt go prawie i nie skosztował. Po obiedzie pamiętam jak dziś stryj i pleban przystąpili do matki.

— Moje dziecko—rzekł pleban, tak on zawsze nazywał matkę, bo ją od maleńka wypiastował na ręku,—moje dziecko, poddaj się woli Boga. On najlepiéj wie co robi.

— Albo co?—zawołała matka przerażającym głosem.

— Nic, nic, odparł zatrwożony pleban, ale przecież w każdéj godzinie trzeba być gotowym na wszystko.

— Mój mąż! mój Jan!—zawołała biedna matka—jemu się stało coś złego, mówcie, zaklinam was!

— Ranny podobno—odrzekł stryj półgłosem.

— On nie żyje!—zawołała matka—napróżno mnie zwodzicie! wiem o tem od dnia téj nieszczęśliwéj bitwy. Każdy huk armat szarpał mi serce na części.

Ani stryj ani pleban nie zaprzeczyli temu. Matka płakała długo, a potem wyszła z pokoju i ja też wysunąłem się za nią. Uklękła biedaczka przed obrazem Naj. Maryi Panny Częstochowskiéj, gdzie zawsze rano i wieczór odmawiała modlitwy. Wyciągnęła w górę obie ręce, i zdawało się jakby moc niepojęta wstąpiła w nią na nowo. Obróciła głowę, zobaczyła mnie, zawołała, kazała uklęknąć, złożyła moje ręce i razem zmówiliśmy pacierz za duszę ojca.

Po modlitwie matka wzięła mnie na kolana, przycisnęła mocno do piersi. Biedny sierotko, rzekła cichym głosem. Twoja wola Panie— dodała mocniéj—Tyś dał, tyś wziął, bądź za wszystko pochwalony.

Wróciliśmy potem do pokoju, gdzie był stryj z plebanem; matka spokojna była, ale okropnie blada. Już też podobno rumieniec nigdy odtąd nie zakwitł na jéj licu.

Wszystko to co wam mówię—ciągnął major po chwili spoczynku—wyryło mi się w pamięci tak wyraźnie, jakbym na to dziś patrzał. Miałem wtedy lat pięć, ot tak jak Wicuś—to mowiąc wskazał na młodszego wnuka; ale jak mi Bóg miły, przez ten jeden dzień, to jakby mi przybyło z jakie lat dziesiątek. W kilka dni potem matka włożyła na siebie czarną suknią z białemi tasiemkami, i mnie a nawet Ignasia ubrała tak samo. Od rana zjeżdżały się przed nasz dom kolaski, karyolki i bryczki, we wszystkich pokojach pełno było gości jakby nabił. Wszyscy ubrani byli czarno. Dzwony biły na wieży; poszliśmy do kościoła, na katafalku stała czarna trumna, i gromnice paliły się wkoło.

— Czy w tej trumnie jest ciało tatki—zapytałem Frankowéj.

— Gdzietam, mój Adasiu!—odrzekła—szukali go, ale napróżno. Miły Boże, na co przyszło panosku! poczciwym kościom jego nie spocząć nawet w święconéj ziemi. Ale dusza za to jak Bóg Bogiem, odpoczywa już z aniołami w niebie.

Pocieszyły mnie te słowa, i z zupełną wiarą modliłem się za ojcowską duszę. Nabożeństwo trwało długo; nasz pleban opowiedział ślicznie poczciwy żywot ojca, bo go też znał od młodu. Po nabożeństwie przemówił stolnik gostyński, serdeczny przyjaciel ojca; łzy przerwały mu mowę.

Ale dość już otém—rzekł major otarłszy nieznacznie łzę, która popłynęła mu z oka; — nie skończyłbym dziś, gdyby mi tak nad każdą rzeczą przyszło się zastanawiać. Otóż powiem wam tylko, że jak ręka Bozka zaciężyła raz nad tym domem, tak nieprędko sfolgowała. W trzy miesiące po śmierci ojca, biedny Ignaś zachorował na ospę, i po kilku dniach choroby, skonał na ręku biednéj matki. Ja chorowałem

także ale niebardzo mocno, wkrótce też przyszedłem do siebie. Od śmierci Ignasia matka upadła jakoś na zdrowiu; dźwigała się wprawdzie jak mogła, chciała żyć dla mnie ale Bóg inaczéj rozrządził w niezbadanych wyrokach swoich. W jesieni jakoś zachorowała ciężko na kaszel, cherlała przez całą zimę, a gdy nadeszły marcowe słoty, poszła nieboga do ojca, a mnie sierotą zostawiła na świecie!

Stryj został z prawa opiekunem moim i niechaj Bóg świeci jego duszy, wywiązywał się z opieki uczciwie i sumiennie. Nad chudobą sieroty czuwał jakby nad swoją własną, rachunki utrzymywał w porządku, jak się późniéj przy zdaniu opieki pokazało. Pospłacał co do grosza długi, które ojciec przed śmiercią był zaciągnął, i co więcéj, zebrał nawet trochę gotówki, którą mi do rąk wypłacił, gdym doszedł pełnoletności.

Natychmiast po pogrzebie matki stryj zabrał mnie do domu swego, gdzie zacna stryjenka czuwała nademną równie troskliwie jak nad trzema własnemi synami, z których najmłodszy Wicuś był moim równiennikiem. Ciężko mi

było na sercu, gdym opuszczał ten dom gdziem się urodził, i gdzie mi zbiegło kilka lat swobodnego życia, obok ukochanych rodziców. Pamiętam jak się żegnałem z każdym kącikiem i z tą lipą na podwórzu, która właśnie nowemi pokryła się pączkami, i z temi bocianami na gruszy, które tylko co przyleciały z dalekiego zimowiska, i zasiadły swobodnie na gnieździe, podczas gdym ja dotknięty smutnem sieroctwem opuszczał na długo rodzinne gniazdo moje. Najbardziéj żal mi było tych starych portretów do których moje oczy nawykły od maleńka, a które nieboszczyk ojciec w wysokiéj miał cenie. Ledwie żem też umiał bełkotać pierwsze słowa, już mnie nauczył powtarzać nazwisko i godność każdego z tych naddziadów. Ten szczególniéj z szeroką blizną na czole, którą otrzymał z ręki Turka pod Wiedniem, a za którą król mu zapłacił starostwem Wyszogrodzkiem, budził we mnie szczególną cześć połączoną z niejaką trwogą. I nic w tem nie było dziwnego, pamiętam bowiem że ile razy byłem niegrzeczny, stara piastunka Frankowa groziła mi zawsze, iż starosta wyszogrodzki przyjdzie z ogromną rózgą i ukarze

mnie za swawolę. Mimo to jednak, gdym odjeżdżał, żal mi było serdecznie i tego groźnego starosty, który lubo tylokrotnie zapowiadany, nie przychodził jednak nigdy ukarać swawolnika. Całą moją pociechą było, że poczciwy stryj zabrał także i moję kochaną Frankowę, która upadła mu do nóg błagając go o to ze łzami.

Dwa lata byłem w domu stryja, gdziem się razem z jego chłopcami przygotowywał do szkół, pod dozorem dyrektora, który zarazem pełnił obowiązki wójta gminy. Gdyśmy się z Wicusiem nauczyli gładko czytać, nieźle pisać i rachować, stryj umyślił odwieść nas obu do księży Pijarów do Łowicza, gdzie nas już przed rokiem dwaj starsi bracia Józio i Antoś poprzedzili. Stara Frankowa płakała serdecznie, błogosławiąc mnie na drogę.

— Ucz się mój Adasiu, i bądź posłuszny,— mówiła nieboga — bo inaczéj starosta wyszogrodzki trafi i do Łowicza, a niechże cię ręka Boska ustrzeże od tych nawiedzin.

Uczyłem się nieźle, ciągnął daléj major, bo od młodych lat miałem szczerą ochotę do

książki, i nauka szła mi dość łatwo, a gorliwi pijarzy umieli jakoś dodać animuszu i najtępszym; ale jak pierwszy byłem do książki, tak też i nieostatni do figlów. Oj i na wołowéj skórzeby nie spisał tych wszystkich szkolnych sprawek do których byłem pierwszym promotorem. Nieraz też i dyscyplina była w robocie, za co jak mi Bóg miły wdzięczen jestem poczciwym księżom Pijarom.

Lata szkolne przebiegły mi jak sen, i anim się spostrzegł, kiedy nadszedł czas ostatniego egzaminu. Było to pamiętam w lecie roku 1806. Wobec stryja który zjechał umyślnie do Łowicza, otrzymałem z rąk księdza rektora najpierwszą nagrodę, i patent świadczący chlubnie o ukończonych naukach. Stryj zabrał mnie do siebie, i trzymał pilnie na oku, bo zmiarkował, że mi się po głowie snuły niestworzone rzeczy. Co prawda, miałem ja szczególną ochotę zaciągnięcia się do wojska. Poczciwy stryj nie byłby mi tego zapewno bronił, gdybym był starszy o jakie lat kilka; ale jako sumienny opiekun, czuł się w obowiąku

czuwać nademną pilniéj jeszcze, niż nad własnymi synami.

To wyrzekłszy major zatrzymał się chwilę, wyciągnął rękę do wizerunku podkomorzego. O zacny mój opiekunie, wyrzekł drżącym głosem, gdyby cię Bóg nie był powołał tak wcześnie, ileżby mi był oszczędził błędów i wyrzutów! Twój głos ojcowski byłby mnie odrazu przywiódł do upamiętania i powstrzymał na pierwszym kroku do złego, nim się w niém do głębi zanurzyłem. Ale niepotrzebnie uprzedzam wypadki, trzeba iść do rzeczy koleją.

Wkrótce stało się zadość moim gorącym chęciom: mogłem oto zaciągnąć się do wojska, zgodnie z przyzwoleniem drogiego opiekuna mego.

Po kilku kampaniach z których w ostatniéj byłem ranny kulą karabinową w ramie, słaby jeszcze, przybyłem do stryja na usilne jego żądanie. Od jakiegoś czasu czuł się słabym, a przewidując śmierć blizką, rad był złożyć rachunki z opieki, i oddać mi majątek, przyszedłem

już bowiem do pełnoletności, skończywszy właśnie rok dwudziesty pierwszy.

Smutnoż mi było na sercu, gdym zobaczył stryja, zmienionego ciężką lubo powolną chorobą, pożółkł jakoś i wychudł, oczy mu zapadły głęboko, twarz obwisła, włosy wypadły, i głos dziwnie ochrzypiał. Stryjenka posiwiała także dręczona ciągłym niepokojem, poczciwy stryj wezwał do domu swego pozostałych jeszcze przy życiu dwóch członków rady familijnéj, którzy przed piętnastą laty, kiedy mnie Bóg dotknął sieroctwem, powierzyli mu opiekę nademną. Wobec nich wyrachował się jak najsumienniéj z zarządu Kalinówki, okazał kwity z powypłacanych długów, i oddał mi tysiąc dukatów w złocie.

— Mój Adasiu, rzekł, wyrosłeś już na człowieka, i odtąd sam nad sobą czuwać będziesz. Złaski Bożéj masz piękny kawałek ziemi, nieobciążony żadnym długiem, pamiętajże dochować go w całości, abyś mógł kiedyś oddać go dzieciom twoim, wraz z błogosławieństwem. Skoroś się zaciągnął do wojska, pilnujże służby, wypuść tymczasem Kalinówkę w dzierża-

wę na trzy lata, ale skoro tylko rzeczy się zmienią i nastąpi pokój, weź się do roli mój chłopcze, jak czynili twoi ojcowie i naddziady, bo wierz mi, że w roli spoczywa prawdziwe bogactwo, i że skromny zawód ziemianina, otwiera szerokie pole zasługi w rolniczym naszym kraju; nie trwoń majątku, który ojcowie twoi zapracowali uczciwie w pocie czoła, bo choć pieniądze nie powinny być jedynym celem zabiegów naszych, za ich pomocą jednak możesz spełnić wiele dobrego wkoło siebie, ciężko więc grzeszy ten, kto je dobrowolnie marnotrawi, nie ufaj nareszcie w twój rozum, bo choć prawo usamowolniło cię mój Adasiu, młody jednak jesteś i niedoświadczony, w każdéj więc ważniejszéj okoliczności zasięgaj rady szanownego stolnika, był on przyjacielem ojca twego, i ciebie też nie opuści w potrzebie.

To wyrzekłszy, zacny podkomorzy uścisnął mnie i pobłogosławił, a ja upadłem mu do nóg jak długi i płakałem rzewnemi łzami. Po czem objąłem nogi stolnika, który też przycisnął mnie po ojcowsku do piersi, i przyrzekł mi radę i pomoc w każdym razie.

W trzy miesiące zaledwie potem, biedny stryj skonał na ręku żony, wobec dziatek i wnuków, które błogosławił stygnącą już ręką. I ja byłem obecnym jego śmierci, zasypałem mu oczy ziemią, i szczerze zapłakałem na grobie zacnego opiekuna, czując że mnie Bóg powtórnie osierocił.

Stosownie do rady nieboszczyka, wypuściłem Kalinówkę wdzierżawę, za sumkę niewielką, lecz zacnemu i znanemu w okolicy szlachcicowi, za którego uczciwość poręczał stary stolnik. Sam tymczasem stałem z pułkiem w Warszawie. Powąchawszy raz prochu, niemiło mi było trawić czas w bezczynności, i pragnąłem lecieć w świat jak ptak z gniazda. Zachęcały mnie do tego listy brata stryjecznego Józefa, który dokazywał w Hiszpanii, i z drugimi przedzierał się przez strome jéj wąwozy. Przemyślałem już nad tem, gdy nagle wieść gruchnęła, że cesarz Napoleon zbiera ogromną armię i zamierza nową wyprawę. Czekałem więc niecierpliwie co się stanie, jakoż z końcem jedenastego roku nadciągnęły niezliczone zastępy z różnych narodów świata.

Nie będę wam powtarzał wypadków, w których sam czynny brałem udział. Posunięty na stopień porucznika przebyłem tę ciężką wyprawę, a jeśli wyszedłem z niéj cało, to jedynie cudem Opatrzności. Znać modlitwy matki zjednały mi tę łaskę u Boga. Wróciwszy z niedobitkami do kraju, chory i wynędzniały, zaledwie że miałem czas wpaść do Kalinówki, i zaopatrzyć się w trochę pieniędzy od dzierżawcy. Po drodze odwiedziłem zacnego stolnika, który zaledwie że mnie poznał, gdym zajechał przed dom jego lichą żydowską bryczką, w wytartéj kożuszynie i wysokiéj czapce. Pamiętam jak na mój widok dzieci stolnika, a na ich czele śliczna dwunastoletnia Anulka, pouciekały istnie jakby wróble przed strachem. Nie zagrzałem też miejsca ani pod dachem stolnika, ani w Kalinówce: spieszno mi było do Warszawy, zkąd wyruszyłem niedługo w obce kraje. Oj smutneż to były czasy! Klęski sypały się jakby gradem, a chwilowe korzyści nie wynagradzały ciężkich strat, jakiemi ręka Boska dotknęła zastępy Napoleońskie!

Nie będę się zatrzymywał nad smutnym obrazem tych czasów, w których bladła coraz bardziéj gwiazda Napoleona. Dotrwałem do końca, jak mi nakazywała powinność. Rozwiązane wojska powróciły do kraju, ja jednak znękany i upadły na siłach, pragnąłem odpocząć czas jakiś w Paryżu, a korzystając ze sposobności, poznać się trochę z ową stolicą ucywilizowanego świata. Napisałem do domu o pieniądze, mój dzierżawca przysłał mi zaliczenie na rachunek przyszłéj dzierżawy. Nie było w tem jeszcze nic tak dalece złego. Właściwą jest młodemu chęć obejrzenia się po świecie, i ganić jéj nie można. Gdybym też był zabawił w Paryżu z jakie trzy miesiące, a potem powrócił i orał mój zagon, byłbym nic złego nie zrobił. Ale ja zasmakowałem w próżniactwie, wdałem się w towarzystwo młodych lekkomyślnych paniczów i trwoniłem wraz z niemi pieniądze. Pociągnięty złym przykładem, zacząłem grać w karty, wygrałem kilka razy, co mnie tem bardziéj zachęciło. W końcu z grałem się do szeląga, i znów zaciągnąwszy pożyczkę, grałem, żeby swoje od-

bić. Tymczasem odebrałem list od poczciwego stolnika, przypominający mi, że na ś-ty Jan kończy się dzierżawa Kalinówki, i zachęcający do powrotu. Odpisałem mu grzecznie lecz obojętnie, przyrzekałem powrót, ale nie określałem czasu, a korzystając z wyjazdu do Polski jednego z moich nowych przyjaciół, upoważniłem go na piśmie do wypuszczenia wioski mojéj na trzy lata, pod warunkiem, że nowy dzierżawca zaliczy mi z góry trzyletnią zapłatę. Pieniądze nadeszły w parę miesięcy, lecz niedługo zagrzały w mojem ręku. Popłaciłem niemi naglące długi, za resztę sprawiłem prześliczną paryzką garderobę, i wyjechałem do kraju. Byłoto jakoś w późną jesień, zapusty się zbliżały. Miałem ochotę przepędzić zimę w Warszawie, do czego mnie namawiali młodzi przyjaciele, z którymi wracałem z Paryża.

— Nie zajrzałem nawet do Kalinówki—rzekł major z westchnieniem — nie odwiedziłem zacnego stolnika, którego bałem się bardziéj niż owego starosty wyszogrodzkiego, którym Frankowa straszyła mnie w dzieciństwie. Zacny stolnik pomny jednak dawnéj przyjaźni z oj-

cem i stryjem, dowiedziawszy się że jestem w Warszawie, napisał do mnie znowu. Tym razem nie szczędził ostrych wyrzutów, i przepowiadał smutne następstwa mojéj nierozwagi.

Cóż powiecie? nie odpisałem mu nawet, bo i cóż miałem odpisać? czułem że ma słuszność, a jednak porwany wirem, brnąłem coraz to głębiéj. Daremnie Józef i Wicuś stryjeczni bracia, chcieli mnie wyciągnąć z tego odmętu, i skłaniali do życia czynnego. Józef dosłużywszy się stopnia pułkownika, nie opuszczał służby wojskowéj, Wincenty pomagał gospodarować podkomorzynéj, średni z nich Franciszek ożenił się i wyniósł aż za Rawę. Przykład ich wcale na mnie nie działał, znać Bóg dopuścił na mnie ślepotę, z któréj niełatwo przyszło mi się wyleczyć.

Sam doprawdy nie pojmuję dziś jakim sposobem mogłem wytrwać w takiem życiu czczem i rozproszonem, niepodniesionem żadną wyższą myślą. Czas schodził mi na niczem: sypiałem oto do południa, potem oddawałem wizyty, około czwartéj schodziłem się do modnéj

restauracyi z kilkoma takimi jak ja próżniakami, ztamtąd chodziliśmy do cukierni na czarną kawę i na gazety, następnie do teatru, lub na umówionego faraona. W świecie miałem wielkie powodzenie, dzięki całorocznemu pobytowi w Paryżu, gdziem się wyuczył doskonale francuzczyzny. Ztąd też zwano mnie powszechnie paryżaninem, a ja, Boże odpuść, cieszyłem się z tego. Pociągany w wyższe towarzystwa, zaniechałem prawie stosunków z równą mnie szlachtą, bo mnie raziła ich nieogłada i rubaszność. Czułem że mnie nie rozumieli, czemu się dziś wcale nie dziwię, boć jakże tu było zrozumieć takiego półgłówka!

Umilkł major, wytrząsnął popiół z fajki, Józia na jego skinienie nałożyła w nią świeżego tytuniu. Nikt nie śmiał żadną uwagą przerwać opowiadania starca.

— Pojmujecie łatwo mówił daléj, że takie życie nie odpowiadało bynajmniéj miernéj szlacheckiéj fortunce. Zaciągałem więc coraz to nowe pożyczki, dopóki starczyło kredytu. Długi honorowe płaciłem jak najspieszniéj, co do innych nadużywałem cierpliwości wierzy-

cieli, nie oddając im ani kapitału, ani nawet procentu.

W ten sposób upłynęło lat parę, ale w końcu drugiego roku, zmieniła się zupełnie rzeczy postać. Coraz mi jakoś trudniéj przychodziły pieniądze, musiałem rad nierad ograniczyć się w wydatkach, a nie mogąc szumieć jak dawniéj, wiecież wy com ja robił? oto wstyd mi wyrzec te słowa, oto począłem się wieszać przy bogatych paniczach, wycierać cudze kąty, zjadać cudze obiady, błaznować podobnym mi głupcom, jednem słowem, zostałem pieczeniarzem.

Patrzycie na mnie wzrokiem niedowierzającym, ciągnął major, może myślicie że przesadzam? o nie, moi kochani! prawda to wszystko, smutna prawda! Człowiek słaba istota, niechaj tylko stawi stopę na śliskiéj pochyłości; ani się spostrzeże jak upadnie, i zagrzęznie w błocie po uszy! Ten tylko szczęśliwy, kogo łaska Boża oświeci w porę, i kogo ubroni od ostatecznéj hańby. Tak się i zemną stało, posłuchajcie tylko cierpliwie.

Dnia jednego zgrałem się do szeląga. Oprócz pieniędzy jakie miałem, przegrałem zegarek, lornetkę, pierścionek z herbem, i kilka innych kosztownych drobnostek, którem przywiózł z Paryża: do tego jeszcze zadłużyłem się około tysiąca złotych. Wróciwszy nad ranem do domu, porzuciłem się nierozebrany na łóżko, ale sen nie skleił nawet powiek moich. Rano służący hotelowy zasztukał we drzwi, i przyniósł mi ogromny rachunek, prosząc w imieniu gospodarza, abym mu natychmiast zapłacił, a potem szukał gdzieindziéj mieszkania. Niedosyć na tem: po chwili otrzymałem pozew, z którego dowiedziałem się że główny mój wierzyciel wystawił Kalinówkę na sprzedaż. Zmąciło mi się w głowie, sam doprawdy nie wiedziałem co począć. Przeklinałem w duszy i Paryż, i przyjaciół co mnie do złego wciągnęli, i siebie samego, żem się tak dał uplątać. Dotąd porwany szalonym wirem, biegłem do zguby, nie oglądając się nawet poza siebie. Wtedy dopiero poraz pierwszy okropna przyszłość stanęła mi przed oczyma.

Gdym daremnie przemyśliwał nad smutnym losem, drzwi się otworzyły, i Alfred jeden z tak zwanych przyjaciół moich stanął mi przed oczyma.

— Cóż tak dumasz, kochany paryżaninie?— zapytał klepiąc mnie po ramieniu — czy cię przegrana wczorajsza tak obeszła? Żebym był w twojem miejscu, cieszyłbym się doprawdy, bo znasz przecie francuskie przysłowie: nieszczęśliwy w karty, szczęśliwym bywa w innym względzie.

— Dajże mi pokój — odrzekłem trochę kwaśny—twoje żarty wcale dziś nie w porę.

— Ha, to to jak widzę tak cię podrażniło— rzekł przeglądając rachunek gospodarza. Ależ i na to znajdzie się łatwo rada. Sprowadź się do mnie, jak mnie kochasz, a znajdziesz wszelkie wygody. Wiesz przecie, że lubo dziś nie mam przy duszy i szeląga, bom się tak samo zgrał jak i ty, ale w domu na niczem mi nie zbywa. Mama bardzo cię lubi, i rada będzie jeśli zamieszkasz ze mną pod jednym dachem.

— Dziękuję ci mój Alfredzie—odrzekłem— ale nie mogę przyjąć twojéj ofiary: muszę raz

przecie pomyśleć o sobie, i wziąć się do czego; jeśli ocalę choć trochę z ojczystego majątku, porzucę Warszawę i zaprzęgę się do gospodarstwa.

— Co? myślisz zostać hreczkosiejem, mój ty piękny paryżaninie?—zapytał Alfred wesoło—jakto, chciałżebyś aby twoja gładka i biała cera, któréj ci niejedna panna zazdrości, ogorzała na letniem słońcu, aby zgrubiały i poczerniały owe delikatne ręce, z których tak słusznie się chlubisz? Nie, mój Adasiu, ciebie Bóg stworzył na pana, chcesz czy nie chcesz, musisz nim zostać koniecznie.

— O tak! — odrzekłem z gorzkim uśmiechem—wielki już krok postawiłem ku temu. Patrz oto, już moję wioskę wystawiono na sprzedaż.—To mówiąc podałem mu pozew.

— No i cóż wielkiego? taka wioska a nic, to wszystko jedno mój kochany. Przy wielkiéj pracy miałbyś z niéj może kawałek chleba, ale ja powtarzam, tyś wcale nie stworzony do tego; mam ja dla ciebie coś daleko lepszego od twojéj Kalinówki, posłuchaj mnie tylko Adasiu,

mówmy otwarcie, przyszedłem właśnie do ciebie z maleńką propozycyą.

— Z jaką ?—zapytałem podnosząc głowę— uczynię dla ciebie wszystko, cokolwiek nie ubliży mojéj własnéj godności.

— A któżby od ciebie wymagał czegoś takiego?—odparł Alfred—nie mój Adasiu, to co ci mam przedstawić, nietylko że ci nie ubliży, ale jeszcze podniesie cię znakomicie w oczach świata, i postawi na stanowisku, do jakiego śmiało możesz dążyć.

— I o cóż to idzie?—zagadnąłem z gorączkową niecierpliwością.

— O to, żebyś się starał o rękę mojéj kuzynki, pięknéj Malwiny, którą znasz doskonale. Ja w tem, że ci nie odmówi.

Struchlałem na te słowa, zdawało mi się jakby mnie kto oblał gorącym warem.

— Jakto—zawołałem oburzony—czyż sądzisz żebym przystał na związki z osobą, któréj nie mogę kochać ani szanować, takżem nizko upadł w twojem mniemaniu?

— Nie unoś się tak mój Adamie—odparł zimno Alfred—a nadewszystko chciéj pamiętać,

że Malwina jest moją cioteczną siostrą. Nie tajno mi że postępowanie jéj było może cokolwiek niebaczne i lekkomyślne, ale majątek jéj, urodzenie i wysokie stosunki...

— Nie Alfredzie, ja jéj nie poślubię, choćby ród jéj był stokroć świetniejszy, choćby posiadała wszystkie skarby świata. Wolę moje ubóstwo, nad dostatki pozyskane w ten sposób.

— Łatwo to powiedzieć, wolę moje ubóstwo—rzekł szyderczo Alfred—ale spójrzyj mu tylko w oczy kochanku, a inną zaśpiewasz piosenkę. Przyznam się że lepiéj trzymałem o twoim rozsądku: sądziłem żeś się już otrząsnął z niewczesnych przesądów szlacheckich, i że lepiéj potrafisz ocenić zaszczyt jaki ci czynimy, chcąc cię przybliżyć do *nas*, lubo urodzenie twoje wcale ci do tego nie nadaje prawa.

— Zagryzłem usta aż do krwi, zacisnąłem pięście, ale nie odrzekłem ani słowa, bo czułem że gdybym tylko wybuchnął, Bóg jeden wie do czegoby przyjść mogło.

— O! bodajbym był nigdy nie zbliżał się *do was*—pomyślałem w duchu. Dobrze mi tak: kto chodzi koło smoły, cóż dziwnego że się powala.

— Śmieszny człowiek—mówił Alfred chodząc po pokoju—choruje na pana, brnie w długi, a potem gniewa się na tych, co mu podają rękę, i chcą wydźwignąć go z błota. Ciekawy jestem na co rachował, jeśli nie na bogate ożenienie.

To rzekłszy Alfred wziął kapelusz, zanucił jakąś francuzką piosenkę i wyszedł za drzwi bez pożegnania. Dzięku Bogu, nigdy odtąd nie widziałem go na oczy. Wiem tylko z posłuchu, że straciwszy ogromny majątek po śmierci matki, dzięki świetnemu nazwisku, ożenił się bogato i osiadł za granicą.

Głowa płonęła mi jak węgiel, ubrałem się naprędce, wybiegłem sam nie wiedząc gdzie idę. Gdym dochodził do Saskiego placu, posłyszałem wojskową muzykę, i ujrzałem pułk ułanów defilujący konno.

— Zaciągnę się do wojska—pomyślałem,

wprzód jednak muszę uregulować interesa, sprzedać Kalinówkę i powypłacać długi.

Wróciłem spiesznie do stancyi, wziąłem ze stołu pozew, i nie tracąc czasu, poszedłem do znanego prawnika, który jak mi było wiadomo mieszkał przy ulicy Świętojańskiéj.

Było to pamiętam w piątek. Przechodząc koło katedry, posłyszałem dzwony, i idąc za mimowolnym popędem, wszedłem w otwarte drzwi kościoła. Dosyć już dawno nie byłem w domu Bożym, zwłaszcza w dzień powszedni, bo choć życie zbiegało mi na próżniactwie, nigdy jednak na nic nie miałem czasu. Msza święta odprawiała się właśnie w kaplicy Pana Jezusa, poszedłem na lewo za innymi, i stanąłem przy stopniach dzielących kaplicę od kościoła. Zmówiłem krótki pacierz, i już miałem odejść, gdy nagle przeszła koło mnie jakaś pani, w dojrzalszym już wieku, z młodą i prześliczną panienką. Rysy obudwóch znane mi były oddawna, lecz daremnie smażyłem sobie głowę gdziem je widział i kiedy. Weszły do kaplicy i uklękły z pokorą na flizach, i ja poszedłem też za niemi, a wsparty o filar, nie mo-

głem oczu oderwać z oblicza miluchnéj dzieweczki. Niewymowna słodycz jaśniała na jéj koralowych ustach, a oczy modre jak bławatki z takiem przejęciem wlepiła w wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela, że mi się wydała istnym aniołem. Ukląkłem i ja, i począłem sie modlić, a lubo wątek modlitwy zrywał się co chwila w myśli mojéj, Bóg znać przyjął moję chęć za uczynek, bo mnie ta niedołężna modlitwa dziwnie jakoś uspokoiła na sercu.

Po mszy świętéj wstały obie nieznajome panie, i wyszły z kościoła; i ja pospieszyłem za niemi, widziałem jak wsiadły do dorożki i pojechały na Krakowskie Przedmieście: trudnoż je było gonić, udałem się więc w moję stronę i w kilka minut zadzwoniłem do drzwi znanego mi prawnika. Był w domu i przyjął mnie natychmiast, pomówiłem z nim obszernie o interesie, oddałem mu świeżo otrzymany pozew i prosiłem, aby się chciał zająć moją sprawą.

— Mój panie Adamie—rzekł—wybadawszy mnie jak należy, trudna rada, nie ocalisz wioski żadną miarą, twoja Kalinówka musi przejść

w cudze ręce. Dobrzeby było żeby ci się choć cośkolwiek okroiło po sprzedaży. Święty Jan już za pasem, jedźże więc na wieś coprędzéj, i zakończ naprzód rachunek z dzierżawcą, a ja z mojéj strony pomyślę jakby rzeczy najlepiéj wykierować. Znałem dobrze nieboszczyka podkomorzego, godnego stryja twego, razem z nim wypłacałem niektóre długi, pozostałe po ojcu twoim. Oj szkoda mój panie Adamie, żeś się tak pospieszył z wyszastaniem spadku ojczystego, daruj mi tę uwagę, lecz moje siwe włosy dają mi do niéj prawo.

— Oj szkoda, szkoda!—pomyślałem zawstydzony—ale cóż robić? mądry Polak po szkodzie.

— Ha! zdrów jesteś i młody—dodał zacny prawnik—pracuj, a Bóg ci dopomoże. Jeszcze dla ciebie wszystko nie przepadło, bo masz przed sobą czas, i jak mniemam silną wolę. Jedź tylko niezwłocznie do Kalinówki.

— Jabym jechał—odrzekłem nieśmiało—ale nie mam o czem, zadłużyłem się do tego w hotelu, sam nie wiem czy mnie wypuszczą.

— Jeżeli tylko o to idzie, masz na drogę trzysta złotych — to mówiąc wsunął mi niewielki rulonik—w hotelu także poczekają, skoro ja poręczę za ciebie. Dobrze ci jakoś z oczu patrzy, a przytem poczciwa krew płynie w twoich żyłach, pewien jestem że mnie nie zawiedziesz.

Podziękowałem mu z serca, i poprzysiągłem sobie stanowczo, iż nie zawiodę dobrego mniemania jakie powziął o mnie, sam nie wiem z jakiego powodu. Nazajutrz też wyjechałem z Warszawy, ściągnąłem na noc do Łowicza, zkąd o świcie wyruszyłem w dalszą drogę.

Major zatrzymał się, wzrok wlepił w płonące ogniska, dorzucił parę suchych drewek, poczem wsparł czoło na ręku, jakby chciał zebrać w jednę całość wątek rozpierzchłych wspomnień.

— O moje dzieci—rzekł po chwili stłumionym nieco głosem—nie zdołam nigdy opisać wam smutnego wrażenia jakiego doznałem na widok téj wioski, tak mi drogiéj, która przez moję własną winę miała przejść w cudze ręce. Wszystkie wspomnienia młodości odżyły na

raz w sercu mojem, gdym po długich latach rodzinnem wreszcie odetchnął powietrzem. Przyjechałem pamiętam przed sąmym zachodem słońca, w dzień ciepły i pogodny. Na łące kosarze cięli trawę, wesoło pobrzękując kosami, niektórzy z nich poznali mnie, i skłonili się z wyrazem zadowolenia na twarzy poczciwéj, nie zapomnieli o panu swoim, który o nich tak zupełnie nie pamiętał.

Serce mi się boleśnie ścisnęło na widok chat napół obalonych, z obdartemi strzechami i porozgradzanych płotów. Wszędzie dawał się widzieć brak czujnego oka, z każdego kąta wyglądała pustka. O! czemuż, pomyślałem w duchu, nie zajrzałem tu zaraz po powrocie z Paryża, wtedy był czas jeszcze powstrzymać się na téj pochyłości, z któréj miałem się stoczyć w bagnistą przepaść, i ulgnąć w niéj na długo; Bóg strzegł że nie na zawsze. Łzy popłynęły mi z oczu gdym ujrzał opodal za łąką dzwonnicę kościołka, pod którym leżała matka moja. Cała przeszłość stanęła mi wyraźnie w oczach; pocztylion tymczasem skręcił w opłotki, zatrą-

bił, wjechał w bramę, i stanął przed gankiem.

Nie potrafię wam powiedzieć co się działo ze mną, gdym wszedł w te święte progi, pełne najdroższych pamiątek. Połowę domu zajmował dzierżawca z rodziną, druga stała oddawna pustkami. Nie zastałem w domu dzierżawcy, wyjechał do Kutna, ale miał niezadługo powrócić. Zniesiono rzeczy moje do tejże saméj sali, w któréj siedzimy teraz. O! ależ inaczéj wtedy wyglądała! ściany brudne były i przesiąkłe wilgocią, grzyby wyrastały na podłodze, myszy chrobotały wciąż papierowem obiciem, za którem miały bezpieczne legowiska: okna powybijane gradem, zabite były deskami, lub oklejone brudnym papierem, parę szyb zaledwie przepuszczało wątpliwe światło; stęchła woń powiewała wokoło, istnie jakby z grobowca. — Owe portrety wisiały jak dziś na ścianach; ale tak poczerniały od wilgoci, pleśni i kurzu, że trudno było rozróżnić je od siebie. Wszedłszy rzuciłem wzrok na wizerunek starosty zakroczymskiego, odznaczający się większym rozmiarem: chłodny dreszcz przejął mnie

nawskróś, nigdy postać jego nie wydała się tak groźną oczom moim.

Wpół godzinki po mnie przyjechał i dzierżawca; tegoż dnia jeszcze począłem się z nim liczyć. Niech mu Bóg nie pamięta ogromnych pretensyj jakie namalował za gradobicie, pomor bydła i inne przygody w ciągu trzyletniéj posessyi. Nie mogąc sam radzić sobie w tym względzie, odwołałem się do polubownego sądu obywateli. Sam nie wiedziałem do kogo się udać. Stolnika bałem się jak ognia, i wolałbym był umrzeć, niż się z nim spotkać w żywe oczy.

Po wieczerzy, gdy gospodarstwo z dziećmi udali się na spoczynek, poszedłem sam do ogrodu, który przedstawiał najsmutniejszy obraz zniszczenia. Ścieszki i ulice zarosłe były pokrzywami i innym chwastem, drzewa owocowe, posadzone niegdyś ręką ojca, poschły i pomarzły w większéj części. Parę zaledwie krzaczków bzu i jaśminu i kilka zdziczałych róż pozostało z mnóstwa kwiatowych krzewów, które matka moja hodowała starannie.

Z ciężkiem sercem i płonącą głową powróciłem do sali, gdzie mi posłano na kanapie pod tą ścianą. Położyłem się, ale długo zasnąć nie mogłem. Burza zerwała się około północy, wicher świszczał przez szpary zabitych w oknach desek, deszcz z łoskotem spadał grubemi kroplami na podłogę przez dach napół przegniły. Grzmot hucząc rozlegał się o puste ściany téj sali, a błyskawica oświecała ją co chwila przykrym blaskiem. O! nie zapomnę nigdy owéj nocy: niepojęta trwoga ogarnęła mnie, drżałem jak liść za każdym hukiem gromu, pewien byłem że nie doczekam jutra, i korzyłem się w duszy przed Bogiem, widząc w tem karzącą jego rękę.

Około drugiej po północy nawalnica uspokoiła się cokolwiek: znużony dwudniową podróżą i bezsennością zasnąłem w końcu snem ciężkim i gorączkowym. Dziwne obrazy przewijały się kolejno przed oczyma memi, to mi się zdało żem jeszcze mały, i biegam swobodnie po ogrodzie z Ignasiem, to znów widziałem się w czarnéj sukience z białemi tasiemkami, jak w dzień pogrzebu matki. Cała

przeszłość w słabych zarysach snuła się w myśli mojéj nieprzerwanym wątkiem, od kolebki aż do chwili obecnéj, a w każdéj dobie życia widziałem obok siebie wydatną postać starosty Zakroczymskiego. Stał naprzeciwko mnie w groźnéj postaci, rosły jak dąb, okuty żelaznym pancerzem, z głęboką szramą wyżéj oka. Dopóki pląsałem małem pacholęciem, uśmiechał się łagodnie; gdy mnie obleczono w czarną sierocą sukienkę, spostrzegłem jak łza spłynęła mu zpod powieki i stoczyła się po ogorzałem licu. Gdy późniéj uczyłem się na ławie szkolnéj z towarzyszami, przystąpił zcicha i pogłaskał mnie po twarzy. Słowem, dopóki żywot mój toczył się koleją, jaką wytknęła mi ręka Boża, widziałem oblicze starosty, rozpromienione blaskiem rodzicielskiéj miłości. Ale wmiarę jakem ja schodził z tego toru, coraz groźniejsza chmura wzbierała się na jego czole. Naostatek znikły widzenia przeszłości, i tylko ta straszna postać stała nademną, mierząc mię wzrokiem pogardy i słusznego gniewu. Drżałem jak liść; zimny pot wystąpił mi na czoło, włosy powstały mi dębem.

— Nikczemny wyrodku!—wyrzekł starosta głosem, który się zdawał wydobywać zpod dębowego wieka trumny—takżeś to przechował cześć zacnego rodu twego? takżeś to uszanował świętą spuściznę twych naddziadów!

Chciałem coś odpowiedzieć, ale moc jakaś niepojęta zatrzymała głos w piersi mojéj; nie byłem w stanie wyrzec słowa.

Wtem nagle zabłysła mi przed oczyma postać jasna i lekka, jakby owiana bladym księżyca promieniem. Byłato moja matka. Upadła na kolana przed starostą, wyciągnęła do niego obie ręce.

— Przebacz mu ojcze!—zawołała—wszakże on jeszcze nie upadł tak, aby się dźwignąć nie mógł, wszak się nie spodlił żadnym haniebnym czynem. On słaby, ale nie występny.

— Co ty wiesz, kobiéto—odparł starosta—słabość nie jestże występkiem? kto nie działa na polu jakie mu Bóg wymierzył, lecz gnuśnieje w niedołężnem próżniactwie, występnym jest w obliczu Boga i ludzi. Tak jest: kto nie dorzuci jednego kłoska po plonu zebranego przez ojców, nie godzien zwać się ich synem;

to spróchniała latorośl, oderwana z pnia rodzinnego, która całe drzewo zarazi zgnilizną, i przywiedzie rychło do upadku. O tak, hańba próżniakom, biada niedołężnym!... prze...

— Przekleństwo wyrodkom! chciał zapewne dodać starosta—ciągnął major zmienionym głosem—widziałem to z groźnéj jego postawy, z ręki podniesionéj i z oczu ciskających błyskawice, ale matka moja upadła mu do nóg, i boleśnie jęknęła. Głos jéj rozległ się w sercu mojem z niepojętą siłą, skruszył je w proch, i dobył z niego strumień łez pokutnych. Na ten głos błagalny, złagodniało oblicze starosty, opuścił rękę wzniesioną do przekleństwa.

— Po raz ostatni przebaczam mu—wyrzekł bardziéj jeszcze stłumionym głosem. I w téjże chwili otoczyły go wkoło jakieś niewyraźne postacie, między któremi widziałem ojca mego, i tych wszystkich pradziadów— to mówiąc major wskazał ręką wizerunki na ścianie. Pomiędzy niemi jaśniała jak gwiazda promienista postać mojéj matki. Upadłem jéj do nóg i całowałem je z głęboką miłością i serdecznym

żalem, a ona słodko poglądała na mnie z poza łez. W tym wzroku wyczytałem słowo przebaczenia i nadziei.

— Dźwignij się całą siłą, a Bóg przebaczy ci, tak jak im przebaczył. Młody jesteś, cała przyszłość otwarta przed tobą. Straciłeś spuściznę twych ojców, lecz pracą a wytrwaniem odzyskasz ją na nowo. Nie trać odwagi, synu, choć droga twoja ciężka... Módl się, a Bóg ukrzepi cię łaską, i oświeci Duchem świętym. Błogosławię cię na tę drogę mój Adamie! Idź śmiało, ufaj i pracuj, a ja czuwać będę nad tobą.

Wyrzekłszy te słowa major, przycisnął rękę do oczu i zatrzymał się chwilę.

— O moje dzieci!—rzekł wreszcie—ileż to ja łez wylałem téj nocy!... Kiedym się obudził, cała moja poduszka zmoczona była niemi. Ale te łzy dziwnie mnie jakoś ukrzepiły, i jakby odrodziły w duchu. Zerwałem się co żywo z posłania, wyjrzałem oknem; słońce wybiegało jasno zpoza chmury, cała przyroda wstrząśniona burzą, nowemi siłami budząca się do życia, przedstawiała wierny obraz serca mego.

Odziałem się naprędce, i pobiegłem przez łąkę do poblizkiéj wsi, gdzie pod drewnianym kościołkiem na cmentarzu spoczywała ukochana matka moja. Dzwony uderzyły właśnie na Anioł Pański w chwili, gdym stanął we wrotach cmentarza. Ale dźwięk czysty, rzewny i przeciągły zdał mi się dobrą wróżbą.

Długo, bardzo długo klęczałem pod krzyżem na mogile matki; zrazu odłożywszy na bok wszelkie myśli, modliłem się tylko za jéj duszę; potem objąłem krzyż w objęcia i pochyliłem głowę ku ziemi, jakbym się spodziewał, że głos z drogiego mi grobu poszepnie mi co mam czynić. Oj nie zawiodłem się w tem dzieci moje! wprawdzie nie posłyszałem głosu, ale w sercu mojem zbudziła się myśl zbawienna, którą snać Bóg mi zesłał.

— Udam się natychmiast do stolnika—pomyślałem — upadnę mu do nóg, przebłagam go, a on mnie nie odtrąci przez wzgląd na pamięć rodziców.

Wprawdzie moja miłość własna oburzała się na to, alem nie posłuchał zdradnego jéj poszeptu i krzyżem świętym odpędziłem pokusę.

— Ha, trudna rada — rzekłem sam do siebie—zawiniłem, trzeba odpokutować. Im więcéj mnie to kosztować będzie, tém lepiéj, spłacę w ten sposób choćby cząsteczkę długu, jaki obłędem i nierozwagą zaciągnąłem względem Boga.

Dziadek zadzwonił na mszę świętą, poszedłem do kościołka, i modliłem się szczerze. Nie byłem tam od owéj chwili kiedy ciało matki mojéj stało na katafalku. Po mszy poszedłem do zakrystyi za plebanem i prosiłem go aby mnie wysłuchał spowiedzi. Ukrzepiony w duchu łaską sakramentalną, powróciłem do domu z lżejszem sercem i przebrawszy się naprędce, pojechałem do stolnika, który mieszkał o dobrą milę, w dziedzicznéj wiosce Zabrzezi.

Przybyłem na miejsce przed samem południem; oj gdybyście wiedzieli jak mi serce biło, gdym skręcił w ulicę wysadzaną lipami, wiodącą do dworu! Zsiadłem z bryczki drżący jak listek osiny i blady jak ściana. Pachołek który wybiegł przed sień posłyszawszy turkot, powiedział mi, że stolnik jest w swoim

pokoju, słaby trochę na nogę. Przeżegnałem się nieznacznie i wszedłem we drzwi, znane mi dobrze oddawna.

— Któż waść jesteś,—zagadnął stolnik, mierząc mnie okiem od stóp do głów — zdaje mi się, żem go kiedyś widział, ale nazwiska nie pomnę.

Zdobyłem się na odwagę, upadłem do nóg jego, i łkając wyrzekłem moje nazwisko.

— Zkądżeś sobie waść przypomniał o mnie?— odrzekł surowo, odsuwając mnie zlekka—przez tyle lat nie chciałeś wiedzieć o starym przyjacielu ojca twego, nie odpowiedziałeś nawet na list, który pisałem do waści, napominając go za życie próżniacze i lekkomyślne. Dziś i ja o waści nie chcę wiedzieć, wszystko skończone między nami.

— Odwołaj te słowa czcigodny panie—odparłem, zanosząc się od płaczu—wszakże i Bóg nie odtrąca grzesznika, który się pragnie nawrócić.

— Zapóźno, już zapóźno — mówił groźno stolnik--zmarnowałeś waść ojcowską chudobę, zabrnąłeś w długach po uszy, wyjdźże sobie

z kijem i torbą z Kalinówki. Świat długi i szeroki, możesz po nim bezpiecznie wędrować, ja waści służyć nie myślę za przewodnika. Czemużeś mnie nie pytał o radę, kiedyś szlifował bruk paryski, cóż waść na to? hę? Wtedy była jeszcze rada, ale co dziś, to z próżnego i sam Salomon nie naleje. Nawarzyłeś piwa, wypijże go sam, a mnie nie częstuj tą polewką.

— Czcigodny panie — rzekłem ściskając z pokorą jego stopy — grom mnie, łaj, zniosę wszystko, bo czuję żem zawinił, ale nie odtrącaj mnie od siebie, przez wzgląd na pamięć ojca i umierającego stryja, który cię błagał o pamięć nad sierotą.

— A waści, czyż nie błagał także konającym głosem, abyś był godzien naddziadów twoich, i nie czynił im zakału. Pamiętam ja dobrze jego słowa, ale co waści to wywietrzały podobno z serca i głowy w tym utrapionym Paryżu.

— Prawda—odrzekłem — ale w rodzinnéj Kalinówce, ale na grobie matki wróciły znów do serca owe błogosławione przestrogi. Pod ich to wpływem przybyłem tu, aby upaść do

nóg twoich szanowny panie, i nie odstąpić, dopóki mi nie przebaczysz, jak mi Bóg przebaczył dziś przez usta kapłana, któremu wyspowiadałem wszystkie winy moje.

— No i czegoż waść żądasz?—zagadnął stolnik zmiękczonym nieco głosem.

— Naprzód dobréj wiary w szczerość mego żalu.

— No jużci wierzę, skoro waść zwróciłeś się do Boga. Nie wymawiając, toć i ja modliłem się nieraz do Ducha ś-go, żeby cię oświecił w twéj ślepocie, i teraz dziękuję mu za to. Ale cóż tu poradzić, skoro tak głęboko zabrnąłeś.

— O jedno tylko błagam cię panie, uczyń to jeśli możesz, kup pan na własność Kalinówkę, niech przynajmniéj ten kawałek ziemi, zapracowany poczciwie przez naddziadów, nie przejdzie w nikczemne jakie ręce.

— Uczyniłbym to chętnie — odparł stolnik — ale dziewczęta nadrastają, potrzeba mi gotowego grosza na posag. Wreszcie, zostawże mi choć z parę dni czasu do namysłu, i wykaż bez ogródki cały stan interesów swoich.

— Oto jest—odrzekłem—dobywając z kieszeni sumienny spis wszystkich długów wraz z zaległemi procentami.

Stolnik wziął papier w rękę, włożył okulary i czytał, kiwając głową co chwila. Ja tymczasem stałem oparty o piec, istnie jak delikwent skazany wyrokiem na ścięcie.

Poczciwy stolnik, widząc nadzwyczajną bladość moję, wstrzymał się od wszelkich wyrzutów i bolesnych uwag. Przeczytawszy papiery, oddał mi je, nie wyrzekłszy ani słowa.

— Przyjedźże tu pojutrze — zagadnął po chwili — namyślę się tymczasem co uczynić. Teraz nie przyrzekam nic, ale też nie odmawiam, zobaczymy...

Gdy to mówił, zegar wybił dwunastą; na to hasło drzwi się otworzyły, i...wyobrazicie sobie moje zdziwienie, prześliczna panienka, z oczyma modremi jak dwa rozkwitłe bławatki, i z jasnemi włosami zwiniętemi w pierścienie ponad czołem, wbiegła do pokoju leciuchna jak ptaszek. Sam nie wiedziałem co się ze mną dzieje, była to bowiem taż sama panienka,

którą przed tygodniem widziałem w kaplicy u Fary.

Wbiegłszy do pokoju Anulka — bo tak jéj było imie—stanęła jak wryta. Widok obcego człowieka w pokoju ojcowskim, zdziwił ją i zbił z tropu. Śliczny też rumieniec wystąpił na jéj jagody, a w wielkiem pomieszaniu, sama zapomniała po co przyszła.

— Czego chcesz Anulko? — zapytał stolnik łagodnie.

— Przyszłam prosić do stołu kochanego tatkę—rzekła nieśmiało całując rękę ojca. I wybiegła jakby ją kto gonił.

— Chodźmy Adamie — rzekł stolnik powstając z krzesła zjesz przecie obiadek razem z nami.

Wymawiałem się jak mogłem, lecz nic nie pomogły próżne słowa. Stolnik wsparł się na mojem ramieniu, a gdyśmy weszli do salki jadalnéj, przedstawił mnie zacnéj swéj żonie. Stolnikowa okazała mi zwykłą uprzejmość, przypominała dawne lata, i serdeczną przyjaźń z nieboszczką matką, a dobroć jéj dziwnie ujęła serce moje.

Przy obiedzie siedziałem naprzeciwko ślicznéj Anulki. Co się ze mną działo, tego wypowiedzieć nie potrafię. Wiedziałem dobrze, iż wszyscy w domu, znają doskonale moje sprawki, nie śmiałem więc podnieść oczu na nikogo. Przez cały obiad nic też nie wziąłem w usta, lubo udawałem żem zajęty jedzeniem. Stolnikostwo niby tego nie uważali, za co byłem im serdecznie wdzięczny. On sam utrzymywał rozmowę przy obiedzie, i pilnie unikał najmniejszego słówka, któreby mnie zadraźnić lub dotknąć mogło. Przez cały ten czas byłem jak na torturach, prosiłem Boga żeby się obiad skończył jak najprędzéj, a jednak dziwnie mi było słodko, poglądać na prześliczną Anulkę, któréj obraz stał mi ciągle w myśli, od dnia jak ją widziałem u Fary.

Nie umiałem sam wytłumaczyć sobie tego szczególnego spotkania, ale zagadka wyjaśniła się wkrótce. Ze słów stolnikowéj dowiedziałem się, że kilka dni temu dopiero, przywiozła córkę z Warszawy, gdzie od trzech lat pobierała nauki na pensyi pani Wilczyńskiéj.

Świeże lica dziewczynki ożywione były tą radością i swobodą, jakich młode serce doznać koniecznie musi za powrotem pod dach rodzicielski.

— Mój Boże!—pomyślałem —jakże jéj błogo było witać domowe ognisko, ojca, rodzeństwo i domowników; a ja witałem tylko puste kąty, mogiły i krzyże!! ona wracała z sercem świeżem jak kwiat, pełnem młodzieńczych nadziei, a ja z ciężkim wyrzutem i goryczą. Niepojęty żal ścisnął pierś moję, jakby w żelazne kleszcze, nie mogłem wyrzec słowa ani odetchnąć swobodnie: skończył się wreszcie obiad, bryczka moja zaszła na dziedziniec, pożegnałem zacnych stolnikostwa i wyjechałem z Zabrzezi. Na zakręcie drogi obróciłem głowę i ujrzałem w otwartem oknie błękitną sukienkę Anulki. Obraz ten ścigał mnie bez ustanku, i dziś choć odtąd przeszło czterdzieści lat z górą, widzę go jeszcze tak jak wówczas.

To rzekłszy major przycisnął do ust rękę żony, która spojrzała nań z uśmiechem pełnym dobroci.

— Na trzeci dzień potem przyjechałem znów do stolnika. Zdrowszy był i siedział w ganku gdym zajechał.

Witam, witam —zawołał z życzliwym uśmiechem—słowny jesteś, nie uchybiłeś ani minuty, to dobrze, bardzo dobrze.

— Pan stolnik kazał mi się stawić na dziewiątą, obowiązkiem moim było trzymać się jego woli, odrzekłem ściskając go za kolana.

— No, mój Adamie — rzekł przystępując wprost do interesu—namyśliłem się już względem kupna. Skoro tak wypadło, nabędę na własność Kalinówkę, odbieram właśnie kapitał od starosty, i szczęście że go jeszcze nie ulokowałem w nowem miejscu. Możemy zaraz ułożyć się co do ceny. Po niedzieli załatwimy rachunki z dzierżawcą, a na święty Jan pojedziemy do Warszawy, dla uregulowania hipoteki i popłacenia długów.

Dziękowałem stolnikowi ze łzami, szczęśliwy, że poczciwe gniazdo ojców moich przejdzie przynajmniéj w godne ręce.

— No, ależ ty co myślisz robić z sobą mój Adamie?—zagadnął stolnik.— Mówiłeś sam że

pragniesz wziąć się do pracy. W jakimże zawodzie chcesz pracować?

— Jeżeli mi się cokolwiek bądź okroi, wezmę choć maleńką dzierżawkę, inaczéj pójdę do wojska.

— Lepiéjbym ci radził gospodarstwo—odparł stolnik.—Nic tak człowieka nie podźwignie w duchu, i nie zwróci do Boga, jak święta praca koło roli. Chwyć się pługa mój chłopcze: choć ręka twoja zmiękła, Bóg powróci jéj dawny hart, miej tylko dobrą wolę i wytrwałość, a wszystko pójdzie dobrze.

— Tak, odrzekłem, ale jeśli nie będzie z czem wziąć się do gospodarstwa?

— No zobaczymy, zobaczymy—odparł stolnik. Nie traćmy tylko czasu i daléj do rzeczy z kopyta. Wieleżbyś ty żądał za Kalinówkę?

— Oddaję to zupełnie pod sąd pana stolnika dobrodzieja.

— Wdzięczem ci jestem za zaufanie mój kochany. Jakże wartość wsi zapisana w hipotece?

—Sto czterdzieści tysięcy—odrzekłem.

— To zamało odparł stolnik — rozległość wprawdzie niewielka, zaledwie czternaście

włók, las zniszczony, ale zato czarnoziem pierwszéj klasy, i żyzne pastwiska. Mogę ci dać 200,000 złotych.

— Czyż to nie zawiele? — zagadnąłem pomieszany.

— Jużcić jabym przecie nie chciał krzywdzić ani sam siebie, ani moich dzieci — rzekł stolnik. Ileż długi twoje wynoszą?

— Wydobyłem znowu z zanadrza nieszczęśliwy papier.

— Sto dziewięćdziesiąt kilka tysięcy — odparłem zapłoniony — licząc w to pretensje dzierżawcy za pomór i gradobicie.

— Przetniemy te pretensje na połowę, już ja w tem. Dziś zaraz napiszę do twoich najbliższych sąsiadów, a pojutrze złożymy sąd polubowny. Po odtrąceniu wszystkiego, zostanie ci zapewne około piętnastu tysięcy złotych, możesz zatem wziąć jaką dzierżawkę, a przy pracy będziesz miał kawałek chleba. Najgorsza rzecz że pora już spóźniona; do świętego Jana tylko dziesięć dni... Ale wiesz co, weź odemnie Kalinówkę, jam już stary, wszystkiemubym sam nie zaradził, przez ekonomów

gospodarować nie lubię, chcesz, wypuszczę ci wioskę za 10,000 złotych. Będę miał zatem pięć procent od włożonego kapitału, a do tego głowę spokojną, czegoż mi więcéj potrzeba?

Uścisnąłem ze łzami nogi stolnika, wdzięczny za jego łaskę, ale wahałem się czy ją przyjąć.

— To być nie może czcigodny panie—odrzekłem — po zapłaceniu dzierżaw, zostanie mi ledwie parę tysięcy. W Kalinówce tymczasem wszystek inwentarz należy do dzierżawcy, zapłacił mi go oddawna. Z czemżebym więc zaczął gospodarstwo.

— Znajdzie się na to rada — rzekł stolnik. Dzierżawę możesz mi płacić z dołu, a co się tycze inwentarza, mam w Zabrzezi dwa razy tyle owiec i bydła, ile ich pomieścić i wyżywić jestem w stanie. Zaopatrzę więc Kalinówkę w inwentarz żywy, ty pomyśl tylko o wozach i powrozach, a na to przecież ci wystarczy. Poratuj też dwór, żeby ci na głowę nie kapało.

Przycisnąłem do ust rękę stolnika, i oblałem ją łzami. Nie wahałem się dłużéj z przy-

jęciem jego dobrodziejstwa, bo widziałem w tem konieczną jego wolę.

— O tak, szanowny panie—zawołałem—nie zawiodę zaufania twego, będę pracował ile sił, a Bóg mi dopomoże, i dozwoli mi zatrzeć błędy młodości, i dźwignąć się z upadku.

— Dobrze mój Adamie—odrzekł stolnik—wcale nie wątpię o tem. A teraz chodź ze mną do ogrodu, pokażę ci jak go urządziłem w ostatnich latach. Mam niemałą szkółkę drzewek owocowych, w jesieni poślę z paręset szczepów do Kalinówki, trzeba je będzie wysadzić w miejscu dawnych drzew, których niemało zapewne pomarniało.

— Mała ledwie cząstka utrzymała się dotąd, odrzekłem—aż mi się serce krajało patrząc na to zniszczenie.

— Trudna rada—odrzekł stolnik—co się stało, już się nie odstanie, teraz trzeba tylko myśleć, żeby na potem było lepiéj.

Tak rozmawiając, przeszliśmy furtką do ogrodu. Jakże tam było pięknie, jaki ład panował dokoła! Woń miła zaprawiała powietrze; na grządkach obsadzonych ciemno-zielonym

bukszpanem, kwitły róże, centyfolie, i jaśminy Lilie białe kołysały się poważnie na wysokich łodygach. Kapryfolia z blado-różowym kwiatem, rozpościerała się po białych ścianach domu. Wgłębi ulicy wpośród róż mignęła błękitna sukienka, serce uderzyło mi jakby młotem.

— Anulku!— zawołał stolnik — co ty tam robisz moje dziecię?

— Pielę kwiatki--odparła dziewczynka przybiegając zadyszana do ojca; na głowie miała słomkowy okrągły kapelusz z błękitną wstążką, zpod którego wymykały się pierścienie jasnych włosów. Spostrzegłszy mnie zapłonęła lekko.

— Urwijże nam trochę truskawek, moje dziecię — rzekł stolnik głaszcząc ją po rumianem licu.

— Dobrze tatku—odparła Anulka i pobiegła co tchu w boczną ulicę, a w kilka minut wróciła, trzymając na ogromnym liściu łopianowym, prześliczne truskawki ogromnéj wielkości, rumiane jak jéj szesnastoletnia twarzycz-

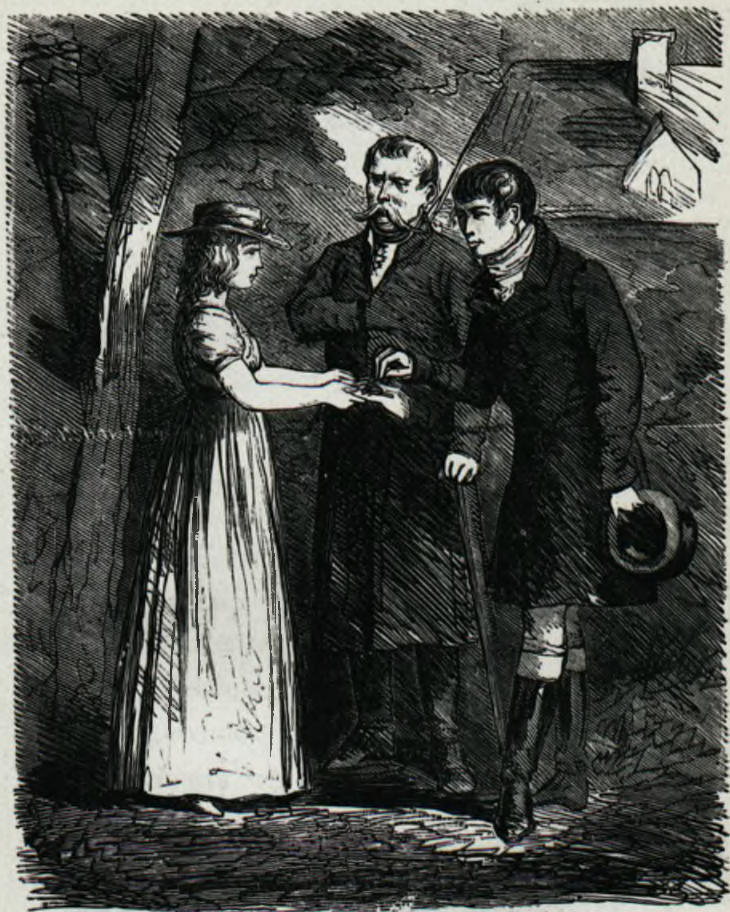
ka. Podała je ojcu, a potem mnie z kolei: wziąłem truskawkę, ręka widocznie mi zadrżała.

— Potrzymaj je pan—rzekła—ja pobiegnę do domu po koszyczek, to ich narwę daleko więcéj.

I znikła za kląbem z bzu i czeremhy, a ja stałem uderzony anielskim dźwiękiem jéj głosu, i nie dosłyszałem nawet co stolnik mówił do mnie.

Tego dnia dłużéj nieco zabawiłem w Zabrzezi, i przed wieczorem dopiéro powróciłem do domu. Pobiegłem natychmiast na grób matki, pewien że jéj modlitwom jedynie winien byłem tak niespodziewany obrót rzeczy.

W kilka dni potem nastąpił kompromis obywatelski, poczem dzierżawca zapłacony przez stolnika, za pretensye przyznane mu wyrokiem, zdał mi gospodarstwo i wyprowadził się w inne strony, ja zaś osiadłem stale w Kalinówce i całą duszą zabrałem się do pracy. Nie upłynęło miesiąca, a niepojęta nastąpiła we mnie przemiana: czułem sam, żem ani podobny do siebie. Niktby we mnie nie poznał owego wykwintnego paryżanina, kiedym w pro-



wróciła, niosąc na liściu łopianowym prześliczne truskawki.

stéj dreliszkowéj kapocie, w grubym słomkowym kapeluszu, i z twarzą ogorzałą, całe dnie od brzasku rannego aż do nocy trawił na polu i w stodole. Ręce z których tak się niegdyś pyszniłem, zczerniały mi i stwardniały jak rzemień, ale zdrowie moje pomimo trudów, zyskało na téj przemianie, a i w duszy coraz to było jaśniéj i pogodniéj.

Stolnik zapraszał mnie często do domu swego, ale ja wymawiałem się jak mogłem, i ledwie raz na sześć tygodni zaglądałem do Zabrzezi. Odgadł on zapewne słuszne powody moje, i umiał je uszanować; to też wcale na mnie nie nalegał. Widziałem jednak, że rad był zawsze z przybycia mego, równie jak i stolnikowa. Od Anulki stroniłem jak od ognia, nawet myśl o niej oddalałem usilnie z serca i głowy, choć się nieproszona zawsze wcisnąć umiała, czyto na jawie czy we śnie. Nikt jednak o tem nie wiedział, byłbym to bowiem uważał za wielką niewdzięczność względem stolnika, gdybym mu za jego nieocenione dobrodziejstwa chciał sobie zniewolić serce córki, nie będąc jéj godnym. Czułem że mi nie wolno nawet pomy-

śleć o tym aniele, a jeśli serce moje skłaniało się ku niéj mimowoli, uważałem w tem słuszną karę za moje dawne przewinienia. Grób matki był jedynym powiernikiem moim, jedynym świadkiem łez, których wylałem niemało.

Pierwszy rok dosyć był ciężki; dzierżawca nie zasiał jak należało, a więc i zbiory chybiły. Wystarczyło mi jednak na zapłacenie stolnikowi dzierżawy. Uiściłem się co do grosza jeszcze w zimie, nie czekając terminu; uczyniłem to wstępnym bojem, gdyż stolnik, widząc rzeczywisty nieurodzaj, chciał mi koniecznie opuścić na pierwszy rok trzy tysiące. Nie chciałem tego przyjąć w żaden sposób; wprawdzie cały rok żyłem barszczem, kapustą i kartoflami wspólnie z czeladką, ale zdrowie moje nie straciło nic na tem, a wewnętrzne zadowolenie, hojnie mi zapłaciło tę chwilową ofiarę.

Dom cały pokryłem nowemi gontami, i odbudowałem z gruntu, płoty pogrodziłem dokoła, ogród zasadziłem szczepami i zaprowadziłem w nim dawny porządek. Kalinówka inną całkiem przybrała postać. Stolnik za każdą bytnością chwalił moje dobre chęci i zachęcał

przyjacielskiem słowem, a ufność jaką położył we mnie, sprawiła, żem całą siłą pragnął usprawiedliwić dobre jego mniemanie. Długie zimowe wieczory przykrzyły mi się zrazu, szczególniéj dopóki nie zasmakowałem w czytaniu poważnych i nauczających książek. Znalazłem ich niemało pod strychem, przywalonych stosami starych gratów i śmieci. Byłyto zabytki po dziadku, który wielkie miał w księgach upodobanie. Między innemi odkryłem tam kronikę Bielskiego, Górnickiego i Kromera, pisarza Reja, Kochanowskiego, Klonowicza, Skargę, oraz wszystkich niemal pisarzów z Stanisławowskiéj epoki. Zaprenumerowałem przytem gazetę Warszawską i pamiętnik wychodzący pod redakcyą Bentkowskiego; innych książek dostarczał mi stolnik; znalazłem więc przyjemne zajęcie na zimę, a wmiarę jak czytałem, tak też coraz to bardziéj rozbudzało się we mnie zamiłowanie w książkach. Oj, z jakąż to wtedy goryczą myślałem o tylu chwilach zmarnowanych, których można było użyć stokroć miléj i pożyteczniéj!

Drugi rok prędzéj mi jeszcze ubiegł: wszystko szło mi jakoś jak z płatka. Urodzaje miałem prześliczne, to też ku wiośnie umyśliłem puścić się z pszenicą do Gdańska. Stolnikowi podobał się mój zamiar, prosił mnie więc abym zabrał i jego krestencyą, obiecując gospodarować za mnie tymczasem w Kalinówce. Nająłem parę berlinek i popłynąłem Wisłą, mając z sobą znaczną ilość pszenicy. Sprzedaż poszła mi bardzo pomyślnie, zwiedziłem kawał kraju, poznałem starożytny gród pomorski, i powróciłem do domu z pieniędzmi. Zapłaciłem natychmiast dzierżawę, resztę oddałem w bezpieczne ręce na procent. Odtąd zacząłem pomału przychodzić do grosza, a gdy minął rok następny, czy uwierzycie, że po opłaceniu dzierżawy i procentów, miałem już własnych trzydzieści kilka tysięcy.

Z jednéj strony Bóg mi wyraźnie błogosławił, z drugiéj zato miałem ciężki niepokój. Rozeszła się wieść w okolicy, że o starszą pannę stolnikównę stara się pan Henryk Zaklеczewski, syn bogatego obywatela z płockiego. Spotkałem go nawet w Zabrzezi, i choć krzy-

wem okiem patrzyłem na niego, musiałem jednak rad nie rad przyznać, że urodziwy i rozumny; a w dodatku wszyscy wiedzieli że bogaty. Od tego nieszczęśliwego spotkania, zamknąłem się w domu, jak kret w norze; zdałem wszystko na wolę Bożą, i umyśliłem czekać aż się rzeczy wyjaśnią. Oj moje dzieci, com ja wtedy wycierpiał, Bogu to jednemu wiadomo! Wówczas dopiero poznałem jak mi drogą Anulka; gdyby była poszła za Henryka, byłbym chyba umarł ze zmartwienia, albo przywdział habit Bernardyński: lecz Bóg snać inaczéj mi przeznaczył.

Skończyło się wreszcie moje utrapienie: Henryk przestał całkiem bywać w Zabrzezi, powiadano że mu Anulka odmówiła, czemu się wszyscy dziwili niesłychanie. Byłoto jakoś około Bożego Narodzenia, stolnikostwo spodziewali się gości, i mnie zaprosili także na święta. Przybyłem pamiętam w wigilią, nie widziałem Anulki od kilku miesięcy, i nie mogłem się dosyć nadziwić jéj odmianie. Znikł hoży rumieniec na jéj licu, spowolniała jakoś i nabrała powagi, zdało mi się nawet że urosła. Ślicznie

jéj było z tą bladością na licu, i tém smutném a łagodnem wejrzeniem. Uważałem tylko, że wyraźnie unika mego wzroku, jakby miała do mnie urazę. Nie mogłem sobie tego w żaden tposób wytłumaczyć, bo powiem wam szczerze, nie miałem tyle zarozumienia, żebym mógł myśleć, iż długa moja niebytność w Zabrzezi, tak ją na mnie podrażniła: w końcu jednak domyśliłem się o co idzie.

Oj wesołeż to były te święta, póki życia nigdy ich nie zapomnę! w Zabrzezi gwarno było i tłumno; stolnikostwo staropolskim obyczajem radzi byli serdecznie gościom, i pragnęli zabawić ich jak najlepiéj. W trzecie święto to jest w dzień świętego Jana Ewangelisty przypadały imieniny samego gospodarza; zwieziono więc z Kutna muzykę, zjechało się całe sąsiedztwo, i zabawa przeciągnęła się aż do rana. Moja Anulka prześliczna była w białéj lekkiéj sukience, i wianku modrych niezabudek nad czołem. Wówczas to po raz pierwszy, i to właśnie z powodu owych błękitnych kwiatków przekonałem się, że jéj nie byłem obojętny.

— Pamiętam jak dziś, tańczyliśmy mazura. Ja wziąłem młodszą stolnikównę, Anulkę wyprowadził brat jéj cioteczny. Gdyśmy przetańczyli wokoło sali, panny siadły na krzesłach; obok Anulki usiadła młoda kuzynka, rodzona siostra jéj tancerza.

— Jak widzę—rzekła—lubisz kolor błękitny moja Anulku?

— O tak, bardzo go lubię—odparła zapytana.

— Prawda, że ci w nim ślicznie, dodała tamta, ale przecież i różowy kolor niemniéj ładny.

— O, ja wolę niebieski—odparła Anulka—raz że nie tak mocno bije w oczy, a potem mam w tem maleńki przesąd. Czy ty uwierzysz że od dzieciństwa, ile razy mnie spotkała jaka przyjemność lub niespodzianka, miałam zawsze niebieską sukienkę. W niéj to otrzymałam pierwszą nagrodę pensjonarską, w niéj poznałam Józię, najlepszą moję przyjaciółkę. I jakże tu nie lubić barwy, która wyraźnie przynosi mi szczęście!

— Podczas gdy mówiła, zbliżyłem się nieznacznie, stanąłem za jéj krzesłem i niechcący dosłyszałem jéj słowa. Serce mi uderzyło; sam nie wiedziałem co się dzieje ze mną, przeczucie jakieś mówiło mi, że Anulka pamięta równie jak ja ową niebieską sukienkę, którą miała w dniu poznania naszego. Nagle zwróciła głowę, spostrzegła mnie, i rumieniec wystąpił na jéj lica. Nie wiedziała żem był tak blisko, inaczéj nie byłaby zapewne tak śmiało wyznała powodu niewinnego upodobania swego.

W głowie mi się mąciło od radości, przez resztę nocy tańcowałem do upadłego, a najwięcéj z Anulką, powiedziałem jéj nawet parę miłych słówek, które przyjęła z wyraźną życzliwością. Oj, szczęśliwy byłem tego dnia, lecz nazajutrz przyszło upamiętanie, i cięższy jeszcze kamień spadł na serce moje. Powróciłem do domu i postanowiłem nie ruszyć się z Kalinówki przez zimę. Odgadłem przywiązanie Anulki, i to mnie bardziéj jeszcze skłoniło do unikania jéj; wiedziałem bowiem, że nie jestem jéj godzien. Wmiarę jak się dźwigałem z upadku, tem się bardziéj czułem win-

nym za dawne uchybienia; i zamiast wzrastać w dobre rozumienie o sobie, stawałem się tem pokorniejszy. Przed ostatkami sam stolnik przyjechał do mnie i zapraszał w łęczyckie w imieniu krewnych swoich, do których wybierał się z rodziną. Odmówiłem stanowczo, tłumacząc się słabością, czemu poczciwy stolnik dał wiarę, widząc mnie dziwnie bladym i zmienionym.

Nadeszły ostatki: Stolnikostwo z córkami wyjechali w łęczyckie, ja pozostałem w domu. Smutno mi było na duszy, niepojęta jakaś tęsknota opanowała mnie, tak że w książce nawet nie znajdowałem rozrywki, bo też nie rozumiałem nawet co czytam. W niedzielę przed wieczorem poszedłem na grób matki, i długo zbyt długo klęczałem na nim, zalewając się łzami, zdaleka od ludzkich oczu.

O moje dzieci! i w téj okoliczności widzę nad sobą wyraźny palec Boży. Posłuchajcie tylko jak Opatrzność mądrze wszystko ułożyła, i chwilowem cierpieniem dała mi się dokupić prawdziwego szczęścia na ziemi.

Czy to skutkiem przeziębienia, bo mróz w tym dniu dochodził dziesięciu stopniu, czyli też skutkiem wewnętrznego niepokoju, powróciwszy z cmentarza uczułem się słabym. Głowa moja płonęła jak rozżarzony węgiel, a jednak dreszcz zimny przejmował mnie nawskróś; położyłem się z mocną gorączką, która wzmogła się jeszcze nazajutrz, a trzeciego dnia doszła do takiego stopnia, że nic już nie wiedziałem o świecie. Cztery tygodnie przetrwałem pomiędzy życiem a śmiercią; niestworzone rzeczy snuły mi się po głowie. Widziałem ciągle starostę wyszogrodzkiego, jak czuwał na krześle przy łóżku, i drogą matkę spostrzegałem niekiedy u wezgłowia. Całowałem ich ręce ze łzami, mówiłem do nich urywane słowa, wypowiadałem wszystko co mi ciężyło na sercu, błagałem aby mi wyjednali u Boga spokój i siłę, aby mi wyrwali z piersi to nieszczęśliwe uczucie, którego nie mogłem opanować. — Jam jéj niegodzien — powtarzałem co chwila, dajcie mi moc do walki! Domyślacie się zapewne, żem sam nie zapamiętał owych

słów wyrzeczonych w gorączce, ale mi je potem powtórzono.

Dwadzieścia ośm dni, długich zapewne dla tych co mnie otaczali, ubiegło dla mnie jak chwila. Nastąpiło wreszcie przesilenie. Pamiętam jak się obudziłem z twardego snu, pot chłodny spływał kroplami z mego czoła. Otworzyłem ciężkie powieki, i przez chwilę sam nie wiedziałem gdzie jestem. W osłabionéj głowie mojéj, marzenie plątało się dziwnie z rzeczywistością. Byłoto jakoś o wieczornym zmroku, wokoło łóżka mego stało pamiętam kilka osób, między któremi zdało się że widzę matkę moję i starostę. Ktoś nieznajomy, ma się rozumieć że doktor, trzymał mnie za rękę, i spoglądał pilnie na zegarek.

— Choroba już się przesiliła—wyrzekł półgłosem—teraz mogę zaręczyć za życie.

— Dzięki ci Boże!—zawołała matka, wznosząc obie ręce ku niebu.

— Dzięki Bogu powtórzył starosta.

— Budzi się—rzekł dokor—niech się pani oddali, żeby mu nie zrobić wrażenia.

— Wracajcie do domu, ja tu sam przez noc pozostanę—rzekł starosta.

Jakoż postać niewieścia zniknęła, ja otworzyłem lepiéj oczy, skupiłem myśl osłabioną, i wyobraźcie sobie, w owym mniemanym staroście poznałem... zgadnijcie kogo?

— Jużciż stolnika—zawołali wszyscy.

— Tak nie inaczéj, zacnego i kochanego stolnika — mówił major. Wziąłem rękę jego i przycisnąłem ją do ust z serdeczném uczuciem, nie będąc w stanie wypowiedzieć mojéj wdzięczności.

W parę tygodni potem, gdym był już znacznie zdrowszy, dowiedziałem się od doktora, że stolnikostwo oboje czuwali nademną jak nad rodzonym synem. On sam prawie mnie nie odstępował, nie zważając wcale na zaraźliwą gorączkę, a i ona odwiedzała mnie co dzień. Z ich to łaski na niczem mi nie zbywało, i gdyby też nie oni, byłbym dziś zapewne gryzł ziemię, bo choroba ciężka była i wymagała wielkich starań.

Gdy się złe przesiliło, wracałem spiesznie do zdrowia, dzięki krzepkiéj młodości. Stol-

nik w dzień nie bywał w Kalinówce i sam zajmował się gospodarstwem mojém. Ne mogłem wyjść z podziwienia dowiedziawszy się, że wielkanoc już za pasem, pamiętałem bowiem, żem zachorował w ostatki. W tym roku święta wielkanocne przypadały jakoś w końcu kwietnia, czas był pogodny i ciepły. Doktor widząc mnie daleko zdrowszym, pozwolił mi wyjechać do Zabrzezi. Stolnik sam przybył po mnie w wielką sobotę zrana. Blady jak trup, wychudły i chwiejący się jak trzcina, ubrałem się ciepło, i wsiadłem do karety. Nie mogłem się dosyć wydziwić, patrząc na pola przystrojone świeżą zielenią, na drzewa owocowe pokryte białym kwiatem. Ptastwo na różne tony świergotało wiosenną piosnkę woń świeża dolatała z lasu i łąki; wszystko przemawiało do mnie głosem nadziei i szczęścia. Byłem w dziwném jakiémś odurzeniu. Przybyliśmy wreszcie do Zabrzezi: stolnikowa siedziała w ganku z robotą, a przy niéj stała Anulka w błękitnéj sukience. Wzdrygnęła się biedaczka gdy mnie zobaczyła tak zmienionego, i łzy mimowoli zakręciły się jéj w oczach.

O nigdy, póki życia nie zapomnę tych łez! uniesiony mimowolnem uczuciem, ująłem po raz pierwszy drobną jéj rączkę i przycisnąłem ją do ust. Stolnikowa pocałowała mnie w głowę jak syna. Piękny to był dzień, zaprawdę najpiękniejszy w życiu mojém.

Swięta minęły jak sen. Nie śmiałem się jeszcze zbliżyć do Anulki, alem już od niéj nie stronił tak jak dawniéj. Serce zmiękło mi jak wosk, i straciłem siłę do walki.

Zabawiłem w Zabrzezi dwa tygodnie, stolnik nie chciał mnie wcześniéj wypuścić z domu, abym przypadkiem nie dostał recydywy.

Na dzień przed wyjazdem chodziliśmy obaj po ogrodzie rozmawiając o rozmaitych rzeczach.

— Spocznijmy teraz mój Adamie — rzekł stolnik—jam nie dzisiejszy, a i ciebie nogi słuchać jeszcze nie chcą. To mówiąc wprowadził mnie do altanki pokrytéj dzikiem winem i kapryfolią.

Gdyśmy obaj zasiedli na ławeczce, stolnik zażył tabaki, mnie serce uderzyło, przeczuwa-

łem bowiem że się na jakąś ważną zanosi rozprawę.

— No mój Adamie—rzekł—cztery lata wytrwałéj pracy i poczciwych usiłowań, usprawiedliwiło cię przed Bogiem, i przed pamięcią zacnych rodziców twoich. Wiesz coś jeszcze uczynić powinien?

— Mów szanowny panie, rozkaż tylko, a posłucham święcie rady.

— Powinieneś odkupić Kalinówkę! Ja ci ją sprzedam jak najchętniéj.

Upadłem do nóg stolnika, i uścisnąłem je z synowskiem uczuciem.

— Dziękuję, stokroć dziękuję szanowny panie—zawołałem—za twą ojcowską opiekę. Gdyby nie to, sam nie wiem coby ze mną było. O choćbym żył sto lat, nie potrafię się wypłacić za tyle dobrodziejstw. Ależ Kalinówki odkupić nie mogę. Wszakże mam zaledwie sześćdziesiąt tysięcy, resztę Bóg jeden wie kiedybym mógł wypłacić!

— Toć jabym nie nalegał mój Adamie odparł stolnik; mógłbyś mi co rok uiszczać się potrochu. A wreszcie kto wie co ci Pan Bóg

przeznaczył... lata płyną jak woda, wartoby ci pomyśleć o żonie. Jeżeli weźmiesz jaki taki posażek, to się umaże kawał długu, a przy dobrym rządzie, niedługo wykwitujesz się z reszty. I cóż ty na to mój kochany?

— Nie, mój panie—zawołałem—to być nigdy nie może. Zawiniłem ciężko, muszę więc z całą pokorą nieść krzyż, który sam sobie włożyłem na barki.

— Bóg ci przebaczył i ludzie przebaczyli zarówno—rzekł poważnie stolnik. Cztery lata cierpienia i pracy wydźwignęło cię z upadku. Dziś jesteś tak jak dawniéj, godnym synem rodziców twoich, których duch raduje się w niebie, patrząc na zacne twe postępki; dziś mój kochany, każdy ojciec odda ci córkę bez wahania, bo sumienném postępowaniem i wytrwałością w dobrém, dajesz rękojmię szczęścia jego dziecku. Czyś mnie zrozumiał mój Adamie?

Zamiast odpowiedzi, upadłem mu do nóg zalany łzami, i całowałem je w milczeniu.

— O mój ojcze, drugi mój ojcze — zawołałem po chwili stłumionym głosem.

— Tak—odparł stolnik—będę ojcem twoim. Czytałem ja oddawna w twém sercu, widziałem twoje poświęcenie i walkę, wiem żeś jéj zaledwie życiem nie przypłacił. Dość już téj próby, mój Adamie, kochasz ją, i ona sprzyja ci zarówno. Niechże więc błogosławieństwo rodziców będzie wam zadatkiem tego szczęścia, jakie Bóg zsyła dobrém dzieciom.

— Ojcze!—zawołałem—nie zawiodę twego zaufania: biorę na świadectwo pamięć drogich rodziców moich.

Stolnik powstał, a widząc żem blady i chwiejący jak trzcina, wziął mnie pod rękę i poprowadził w cienistą ulicę lipową, gdzie na ławeczce siedziała Anulka obok matki. W kilku słowach, których już i nie pomnę, tak byłem dziwnie wzruszony, opowiedział wszystko co zaszło. Oboje z Anulką upadliśmy do nóg rodzicom, krórzy pobłogosławili nas ze łzami.

We dwa miesiące potem stanąłem przed ołtarzem z moją ukochaną Anielką, która była mi aniołem opiekuńczym przez ciąg czterdziestoletniego pożycia — mówił daléj major po chwili spoczynku, ująwszy białą rękę żony,

i trzymając ją w dłoni, aż do końca opowiadania.—Zamieszkaliśmy w téj Kalinówce, gdzie tyle lat przeżyli rodzice i pradziadowie moi, i gdzie pamięć ich stale nam przewodniczyła. Pożycie nasze było pasmem domowego szczęścia i zgody. Tak jest, byliśmy szczęśliwi, bo lubo ręka Boża dotknęła nas niejednym krzyżykiem, lubo nieraz śmierć zakołatała w progi nasze, zabierając nam i starych rodziców, którzy z nami przeżyli ostatnie lata, i kilkoro dzieciątek w kolebce; lubo nieraz trapiły nas ciężkie przygody, jednak powtarzam raz jeszcze, byliśmy szczęśliwi, o ile na ziemi ludzie szczęśliwymi być mogą.

I tak życie płynęło nam cicho i spokojnie: wzajemna miłość przyświecała nam jasnym płomieniem domowego ogniska.

Północ wybiła na zegarze, major powstał, wszyscy powstali za nim, i po serdecznėm uściśnieniu rozeszli się na spoczynek.

Następnego dnia równo ze świtem ruch niezwykły panował we dworze. O ósméj już wszyscy obecni zebrali się w sali, i posilali kawą. Sanki tymczasem zaszły na dziedziniec: po

śniadaniu całe towarzystwo wyruszyło do kościoła. Dzień był prześliczny, prawdziwie zimowy, cała ziemia zasłana była na pół łokcia śniegiem, na którym promienie wschodzącego słońca łamiąc się w różne barwy, zasiewały całą przestrzeń milionami rubinów i dyamentów. Głośno biły dzwony kościelne, zwiastując wiernym pamiątkę narodzenia Bożego, a o skromne ściany przybytku rozlegały się piękne kolendowe pieśni.

Wysłuchawszy trzech mszy według dawnego obyczaju, na wezwanie majora towarzystwo całe udało się na chwilę do plebanii, aby powinszować wesołych świąt sędziwemu plebanowi. Przechodząc przez cmentarz, major uklęknął u grobu matki, nad którym krzyż kamienny otoczony zielonemi jodłami, rozciągał szerokie ramiona. Za przykładem majora, przyklękli wszyscy i cichą odmówili modlitwę.

Około południa nasza rodzina powróciła do domu wraz księdzem plebanem. Krótki dzień zimowy zbiegł im spiesznie, wieczorem zasiedli wszyscy przy ognisku.

— No moje dzieci — rzekł major—zabawi-

łem was wczoraj opowiadaniem moich przygód, i szczerem wyznaniem błędów. Może kto z was naśladować zechce mój przykład, posłuchamy go radzi.

— Niełatwe to zadanie, drogi ojcze—odparł z uśmiechem pan Karol — każdy z nas miał zapewne swoje błędy i przygody, lecz te nie zawsze układają się tak, aby je w zajmujący sposób opowiedzieć można.

— A potem — dodała majorowa—wypadki życia nabierają dopiéro wyraźnych rysów, w miarę jak się od nich oddalamy. Dlatego tylko ludzie starzy, wytrwaniem, długiem doświadczeniem, mogą dokładnie opowiedzieć swoję przeszłość, która daleko pozostała za nimi.

— Zapewne—odrzekł major—ależ z drugiéj strony spowiedź młodszego serca, silnie bijącego życiem, nie mniéj powinna być zajmującą.

— Tak—przerwał pan Poleski— lecz na to potrzeba, aby pewien ustęp z życia był dokonany, ofiara spełniona, zwycięztwo odniesione;

inaczéj braknie powieści owego zaokrąglenia, które jéj nadaje piękną całość.

— Nam nie idzie o sztukę, ale o sens moralny—odrzekł major zapalając fajkę.

— Chcesz wreszcie kochany majorze—dodał po chwili pan Poleski—gotów jestem opowiedzieć w krótkich słowach przygody mego przyjaciela, lubo uprzedzam was, że to nie ciekawa, a do tego niedokończona powieść.

— Mów, mów drogi Stanisławie — zawołał major — a choćby powieść twoja nie była jak mówisz zupełną, my sami dosnujemy jéj wątku.

— Smutna to powieść—odrzekł pan Poleski skłaniając głowę—tem smutniejsza, że się dziś z małemi odmianami powtarza w niejednéj rodzinie, że jest obrazem powszednich błędów napozór tak drobnych i nieznaczących, że ich ludzie nawet nie poczytują za błędy; lubo następstwa ich okropne.

— Przyjaciel mój—ciągnął daléj — którego nazwę Janem, urodził się na Mazowszu, przed czterdziestu i kilku laty. W pierwszém dzieciństwie Bóg dotknął go ciężkiem sieroctwem,

odbierając mu matkę. Biedny Jan nie zaznał nawet macierzyńskiéj pieszczoty, nie zasłyszał jéj pieśni nad kołyską! Pobożna matka nie składała mu drobnych rąk do modlitwy, nie uczyła go katechizmu, nie szczepiła w serce jego owych prawd Bożych, które stają się zasadą całego życia. Dziecinne lata Jana upłynęły więc smutno i bezbarwnie. Na domiar złego ojciec wszedł w powtórne związki, a zajęty chęcią powiększenia majątku dla nowéj rodziny, zaniedbał zupełnie pierworodnego syna. Macocha obchodziła się z nim cierpko i surowo jak z pasierbem, młodzi bracia dokuczali mu dotkliwie, nauczyciele uczyli go z obowiązku, bez miłości i poświęcenia, słowem nikt nie kochał biednego Jana, a dom rodzicielski był dla niego chłodnem i ponurem więzieniem.

Bez żalu też opuścił go dziesięcioletni chłopiec, gdy ojciec wyprawił go do szkół piotrkowskich. W szkołach uczył się nieźle, bo mu Bóg nie odmówił wrodzonych zdolności, ale nie celował w niczem, bo mu brakło podniety i zachęcenia, brakło tego ciepłego promienia miłości, pod którym wszystko rozwija się i

kwitnie. W dziewiętnastym roku życia, Jan skończywszy nauki szkolne, powrócił do domu, i wyręczał ojca w gospodarstwie. Wtedy nowe pasmo utrapień rozpoczęło się dla niego. Niecierpiany od macochy, odpłacał jéj wzajemną niechęcią. Te bezustanne walki i drażnienia źle oddziaływały na wyrabiający się charakter, i przedwczesną goryczą zaprawiły serce młodziana. Jan patrzał na świat okiem zimnem i podejrzliwem, wszyscy ludzie w jego przekonaniu, byli źli, przewrotni lub niedołężni. Wiara religijna któréj zasad wyuczono go powierzchownie, lecz któréj nikt nie zakorzenił mu w sercu, stała słabo, i nie była w stanie podźwignąć go w duchu i ukrzepić. Widok ciągłych zabiegów o chleb powszedni, ścieśnił że tak powiem jego serce, wystudził wyobraźnią i zwichnął polot ducha, który pchany siłą młodości, daremnie próbował niekiedy wybiegnąć w wyższą sferę.

Doszedłszy do pełnoletności, Jan odebrał majątek po matce. Zpod twardéj opieki ojca wypuszczony na wolność, nadużył jéj odrazu. W przeciągu trzech lat spędzonych w części

na wsi, w większéj części w Warszawie lub za granicą, stracił niemało pieniędzy, a co gorsza, nabył pańskich nałogów, nieodpowiednich jego położeniu. Żyjąc z dnia na dzień, bez żadnéj wyższéj myśli, nie miał pojęcia o konieczności pracy, nie rozumiał obowiązków człowieka względem drugich, pusto było w jego sercu, pusto w jego duszy, nic też dziwnego, że w téj moralnéj pustce rozrosła się zgubna próżność, która stłumiła w nim resztę młodzieńczych popędów do dobrego.

W takiém usposobieniu umysłu i serca Jan poznał młodą Julią, pokochał ją szczerze. Julia odpłacała mu wzajemnością, zdawało się że jasna gwiazda zabłysła nad głową osieroconego dotąd młodziana, i wdzięcznie rozjaśni przymglony jego widnokrąg. Ale na nieszczęście Julia jakkolwiek pełna zalet, wychowana była przez próżną ciotkę, i od pierwszéj młodości przywykła żyć owem życiem czczem i powierzchownem, które jeśli nie wystudzi serca, to je przynajmniéj skrzywi i odwróci od wyższych celów. Jan poślubił Julią, umysły obojga małżonków odpowiadały sobie, zgoda panowała

między niemi, słowem w pożyciu ich były rzeczywiste warunki pomyślności; a jednak nie byli szczęśliwi: próżność bowiem zagłuszyła kwiat szczęścia na ich drodze, wystudziła domowe ich ognisko, a w miejsce jednego, a świętego celu życia, wskazywała im mnóstwo podrzędnych celów, które nęcąc ich oczy, zwracały ich z toru, jaki im Bóg naznaczył.

Pasmo dwudziestoletniego pożycia małżonków ubiegło napozór spokojnie. On sam mozolił się jak mógł nad gospodarstwem, ale urojone potrzeby, wraz ze zgubną chęcią błyszczenia, pochłaniały znaczne dochody i zmuszały go nieraz do zaciągania długów. Jan miał zawsze najpiękniejszą czwórkę koni, najlepszego kucharza i dom najwytworniéj urządzony w okolicy. Julja musiała być najokazaléj ubrana na każdym balu. Co parę lat musieli odbyć przejażdżkę do wód zagranicznych, bo tak czynili zamożniejsi sąsiedzi. W wychowaniu dzieci próżność równie zgubną odgrywała rolę: ledwie dziewczęta ich umiały trochę szczebiotać, trzeba było przyjąć dla nich bonę francuzkę, bo tego wymagało nieszczę-

śliwe uprzedzenie. Gdy cokolwiek podrosły, należało jechać z niemi do Warszawy na naukę tańca i śpiewu, bo tak samo uczyniła bogata hrabina mieszkająca o milę. Następnie trzeba je było zawieść do Paryża, choćby na miesiąc, boć tyle innych osób wyjeżdżało w tym roku; nie uczynić tak jak drudzy, było toż samo, co przyznać się do ubóstwa. Za powrotem do domu panienki nudziły się, i nic w tem doprawdy dziwnego: chleb powszedni nie smakuje tym, co przywykli do czczych i niezdrowych łakoci. Biedne ofiary rodzicielskiego zaślepienia, tęskniły do zabaw i hołdów, do których całe ich wychowanie było wyłącznie skierowane. Matka marzyła tylko o świetnem zamęźciu dla córek, a że na wsi nie było liczyć na kogo, pragnęła koniecznie ukazać je na szerszéj widowni. Jan nie mogąc się oprzeć jéj naleganiom, zaciągnął nowy dług, wziął zadatek na przyszłoroczne zboże, i postanowił zawieść córki do Warszawy na karnawał, aby własną winą nie krępować im świetnéj przyszłości, choć w nią już bynajmniej nie wierzył.

— Smutna to powieść, — dodał pan Poleski zamyśliwszy się chwilę — smutny to obraz zmarnowanego życia własną winą, gdy Bóg dał wszelkie warunki, aby je uczynić szczęśliwem i pożytecznem!

— O tak, Bóg dał warunki szczęścia—zawołała pani Poleska z zapałem—Jan i Julja marnowali Jego dary przez ciąg dwudziestoletniego pożycia, ale nie roztrwonili ich do reszty. Choć bowiem próżność wysoko wygórowała w ich sercach, nie stłumiła jednak do reszty iskry uczucia, może się jeszcze rozetli w święty płomień. Posłuchajcie, dosnuję wam wątku téj prawdziwéj powieści, która w końcu okaże się mniej smutną, niżeli się na to zabierało.

Jan i Julia dążyli dobrowolnie do zguby, a co gorsza, pociągali za sobą niewinne istoty, które Bóg powierzył ich opiece. Ale Opatrzność czuwała nad niemi i zatrzymała ich w połowie drogi. Bóg przywiódł ich do ciepłego ogniska, którego płomień ogrzał ich serca zakrzepłe i nowe rozbudził w nich pojęcia, nową ukazał ścieszkę. Bóg przemówił do nich głosem czcigodnego krewnego, i dał im poznać

jedyną prawdę życia w pracy i miłości. Jego to ręką Bóg zdjął ślepotę z ich oczu, a serca ich oswobodził z choroby próżności, która trapiła je i nikczemniła. Jan i Julia odrodzeni w duchu, podali sobie ręce z miłością i wiarą, i zamiast uganiać się dłużej za ułudą, postanowili z domu krewnych, powrócić do domu, rozetlić wystygłe ognisko, zająć się pożyteczną pracą, żyć dla drugich, słowem wnijść na tę drogę, której im dotąd nikt nie wskazał, a która jedynie prowadzi do Boga i do szczęścia.

Przysłoniła oczy rękoma i milczała chwilę, a ciche łkanie wybiegało z jéj piersi.

Pan Poleski zbliżył się do żony i uścisnął ją z uczuciem.

— Przebacz Karolciu, — zawołał — żem smutną moją powieścią sprawił ci tyle cierpienia.

— O nie, Stanisławie!—odparła—takie łzy nie bolą, ale przynoszą ulgę sercu i leczą w niem zastarzałe rany. Przebaczmy sobie nawzajem, bośmy równo zawinili oboje; ja nawet jako kobieta, któréj Bóg powierzył świętą straż nad domowem ogniskiem, stokroć winniejszą jestem od ciebie, odbiegając powołania

mojego. Chodźcie tu dzieci — dodała zwracając się do dziewcząt — byłyście świadkami błędów rodzicielskich, niechże ich szczery żal będzie dla was na przyszłość zbawienną nauką.

Zosia i Marynia przybiegły do rodziców, i z rzewnym płaczem całowały ich ręce.

— Piękny zaprawdę koniec powieści — rzekł major — piękniejszy niżelim się spodziewał!

— Dzięki waszemu przykładowi, dzięki słowom twoim, majorze! — odparł pan Poleski ściskając rękę starca.

— Nie mnie, nie mnie, ale Bogu niech będzie za to cześć i chwała — odrzekł major — jam tylko narzędziem Jego łaski!

— Godnie uczciliście pamiątkę Narodzenia Bożego — rzekł pleban — prawda zrodziła się w sercu waszem po długich latach zaślepienia i obłędu; aniołowie rozradowali się tém w niebie i zaśpiewali: „chwała Panu na wysokości!“

— A pastuszkowie przybiegają wesoło z piosenką — rzekł major — patrzcie otóż i oni.

Gdy to mówił starzec, szmer powstał w przyległym pokoju; drzwi się otworzyły, i dwaj synkowie państwa Karolów, nie domyślając się

nawet, że tak w porę przybywają, weszli do sali, niosąc szopkę oświeconą różnobarwnemi świeczkami i śpiewając znaną kolendę:

W żłobie leży,
Któż pobieży
Uczcić Boże pacholę!
Co ze świata
W dalsze lata,
Wygna starą niedolę.

Co rozbudzi
Sennych ludzi
Siłą cudu i łaski,
Gdy roztoczy
Im przed oczy
Prawdy Bożéj odblaski.

Wszyscy obecni powstali i z zajęciem przyglądali się szopce, a chłopcy ukazywali kolejno znane powszechnie obrazy: owo ubogie wnętrze stajenki betleemskiéj, a w niéj Najświętszą Pannę z dzieciątkiem, którym wszelkie stworzenie cześć oddawało zacząwszy od ukorzonych bydlątek, aż do aniołów z rozpostartemi skrzydły, unoszących się w górze; podczas gdy gwiazda świeciła się nad stajenką, przyciągając w jéj progi tak ubogich pastuszków, jak i ukoronowanych mędrców z dalekiego wschodu. Potem wystąpił i król Herod, i okropna śmierć z kosą, i djabeł, i czarownica, kmiotki w krakowskich kierezyach, szlachta w kontuszu i pasie, żydzi z długiemi broda-

mi, węgry, kominiarze i klechy. Pieśni brzmiały ochoczo, a o ściany sali rozlegał się wesoły okrzyk: Hej kolenda! kolenda!

Gdy umilkły pieśni kolendowe, rozmowa zawiązała się żywa i serdeczna. Znikł mimowolny przymus, jaki w dniach poprzednich krępował jeszcze usta, wszyscy bowiem czuli że się nawzajem rozumieją. Państwo Polescy przyrzekli majorowi, że zabawią w Kalinówce do Nowego roku, poczem odjadą w łęczyckie, gdzie umyślili wysłać naprzód Antoniego z rzeczami.

Stary sługa ucieszył się niewymownie, gdy mu państwo oznajmili wieczorem tę wiadomość. Kasia nie mniej była uradowana.

Nazajutrz powróciwszy z kościoła, major odprowadził na bok pana Poleskiego i z szczerem zajęciem wypytywał go o stan majątkowy.

— Mój Stasiu — rzekł nakoniec, wysłuchawszy go bacznie—dzięki Bogu, masz jeszcze niemałe środki do wydźwignięcia się z tego błota. Gorzéj zaprawdę było ze mną, a jednak wybrnąłem jak sam widzisz.

— Byłeś młody, kochany majorze — odparł pan Poleski, — miałeś przed sobą czas, który jest największem bogactwem.

— I tyś jeszcze nie przestarzał mój kochany, —odrzekł major,—a wreszcie rzeczy nie doszły u ciebie do téj ostateczności. Owe pieniądze któreś miał strwonić w karnawał, obróć tylko na kupno inwentarza, a zobaczysz jak podźwigniesz gospodarstwo i podwoisz dochód.

— Tak, ale czyż dochód z wioski wystarczy na opłacenie ogromnych procentów lichwiarzom? Czy uwierzysz drogi majorze, iż ostatnią pożyczkę zaciągnąłem na dwanaście od sta. Aż mi wstyd przyznać się do tego.

— Nie wstydź się mój Stasiu, ludzka rzecz zbłądzić, ale podźwignąć się z błędu, to zaprawdę anielska sprawa. Kto z nas bez winy, niech na drugich ciska kamieniem; co do mnie, nie uczynię tego, jak mi Bóg miły! ale podam ci rękę, jak mi ją podał zacny stolnik. Będzie to tylko rzecz oddana; mam oto czterdzieści tysięcy listami zastawnemi, które chowałem w domu na szczególny wypadek; weź je mój kochany, zapłacisz mi po cztery od sta, więcéj ani grosza nie wezmę. Tym sposobem oswobodzisz się z rąk lichwiarzy, a przy Boskiej pomocy staniesz wkrótce na nogach.

— Dziękuję ci szanowny przyjacielu, odrzekł pan Poleski, całując w ramie majora. — Mój Boże! a ja śmiałem wątpić o sercu ludzkiem! To mówiąc otarł łzę, która zwolna potoczyła się po zwiędłéj jego twarzy.

Miło i spiesznie ubiegł tydzień, oddzielający święta Bożego Narodzenia od Nowego roku. Pani Poleska, która z zapałem chwyciła się nowéj drogi, postanawiając iść nią odtąd wytrwale, zasięgała rad doświadczonéj majorowej, co do wewnętrznego zarządu domu. Z panią Karolową, którą pokochała całem sercem, naradzała się co do prowadzenia młodych córek: zapytywała, jakie dzieła religijne i historyczne ma im kolejno dawać do czytania, aby rozbudzić w nich upodobanie w rzeczach poważnych, gruntownych. Panienki téż radziły nad przyszłością i układały wspólnie najpiękniejsze plany. Zofia i Marya towarzyszyły co dzień Józi do chorych i do ochronki, ucząc się od niéj, jak nieść ulgę ludzkiemu cierpieniu, jak pełnić święte uczynki miłosierdzia.

Wciągu ich pobytu w Kalinówce, zdarzył się smutny wypadek, który otworzył zacnéj ro-

dzinie majora, szerokie pole do pełnienia téj chrześcijańskiéj cnoty. Na dwa dni przed Nowym rokiem, kiedy wszyscy siedzieli przy wieczerzy, nagle blask uderzył w okno, i głośny okrzyk „gore!" dał się słyszeć na podwórzu. Wszyscy zerwali się w mgnieniu oka; major z panem Poleskim i Karolem pobiegli czemprędzéj ku wsi, w stronę pożaru; wszystkie panie nie wyłączając majorowéj, zarzuciwszy na prędce ciepłą odzież, pospieszyły za nimi.

Ogień z taką postępował gwałtownością, że niepodobna było ocalić już palącéj się chaty gospodarskiéj, spieszny ratunek tyle przynajmniéj sprawił, że pomimo wiatru, pożar całéj wsi nie obrócił w perzynę.

Chata w płomieniach straszny przedstawiała widok. Ryk bydła, krzyk poparzonych dzieci, płacz nieszczęśliwéj matki, wrzawa zgromadzonego ludu w okropny sposób mieszała się z szumem wichru, trzaskiem płomieni i hukiem walących się belek. Biedny gospodarz wpadł z rozpaczą do chaty po dwoje najmłodszych dziatek; porwał je właśnie z kołyski, gdy część dachu zapadła się nagle i zawaliła drzwi. W téj-

że chwili przybiegł do ognia pan Karol, nie zważając na niebezpieczeństwo rzucił się wpłomienie, i ocalił nieszczęśliwego ojca z dwojgiem dziatek. Gospodarz mocno był poparzony, również jak i dzieci. Urządzono natychmiast nosze, i ostrożnie przeniesiono ich do domu, pod bacznym dozorem pani Karolowéj. Major posłał czemprędzéj do miasteczka po doktora, cyrulika i właściwe leki, a przy spiesznym ratunku i troskliwéj opiece uratowani zostali.

Pani Karolowa na wyścigi z córkami, pielęgnowała chorych; Zofia i Marya z matką pomagałyim także całem sercem. Pan Karol przyrzekł gospodarzowi odbudować chatę, a tymczasem pomieścił gona folwarku. Major darował mu parę pięknych wołów, majorowa najlepszą krowę z obory. Panienki zajęły się szyciem koszul i odzieży dla biednych pogorzelców, a ci widząc serdeczną opiekę państwa, błogosławili ich ze łzami szczeréj wdzięczności.

— O! inaczéj to było u nas! — rzekła smutno pani Poleska do męża — kiedy w roku zeszłym Bóg dotknął ogniem naszą wioskę. Biedni pogorzelcy wyszli z kijem i torbą, żebrząc

obcego miłosierdzia, a my tymczasem nie byliśmy wstanie dać im pomocy, bo nam trzeba było pieniędzy na drogę do Paryża.

— A co najgorsza, moja Karolciu — odparł mąż—żeśmy nawet nie czuli się winnymi! Bóg dopuścił na nas ciężki obłęd i ślepotę, dziękujmyż że nam wkońcu otworzył oczy na światło...

— Prawda, prawda mój Stasiu—rzekła żona, ściskając tkliwie jego rękę.

W wigilią Nowego roku wieczorem, cała rodzina siedziała jak zwykle wkoło okrągłego stołu. Majorowa żywo poruszała druty w palcach, spiesząc się z wykończeniem ciepłych wełnianych pończoch dla pogorzałéj gospodyni. Panienki szyły spodniczki i fartuszki dla dziewcząt. Major palił fajkę, rozmawiając z panem Poleskim i Karolem.

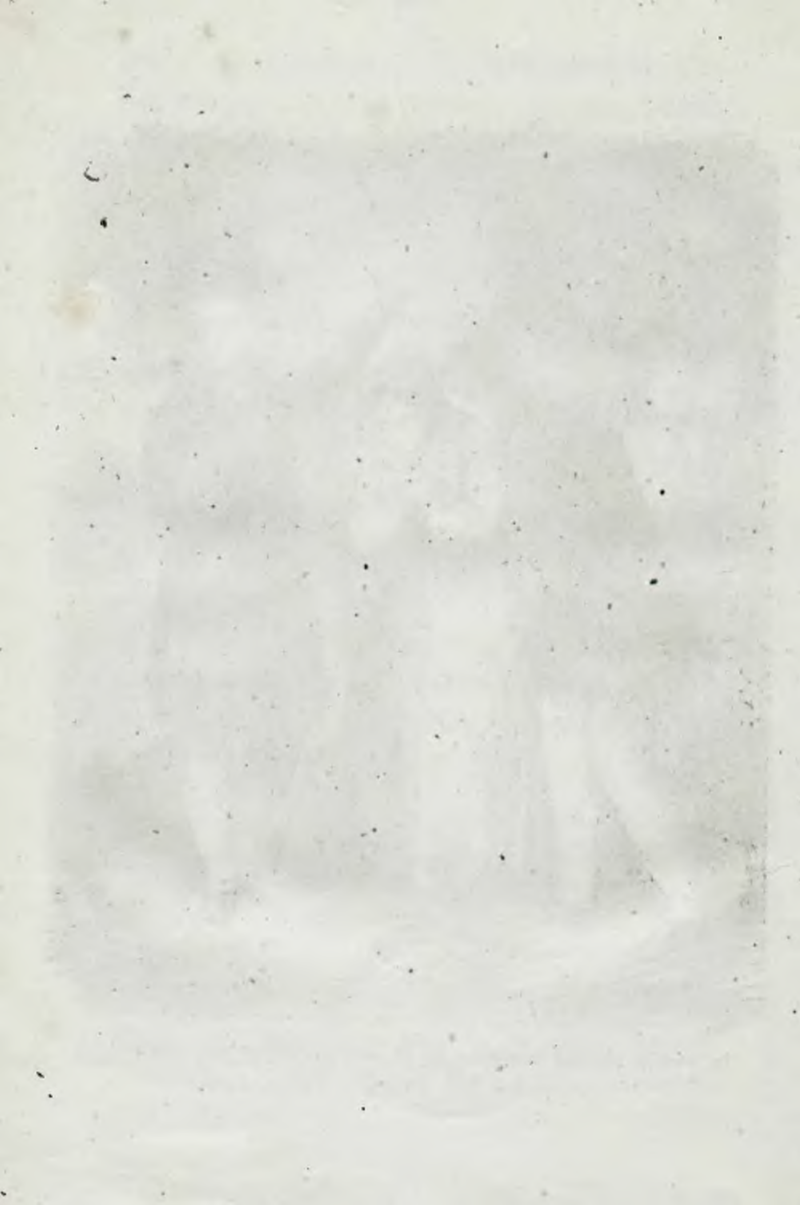
Dziesiąta godzina wybiła. Zofia i Marya spojrzały na siebie jedną natchnione myślą.

— Byłybyśmy w téj chwili wchodziły na bal sylwestrowy, w różowych sukienkach i zielonych, wiankach, na o których marzyłyśmy przez cały adwent — zagadnęła żywo Marya.

— Czyż ci żal? odparła Zofia z podziwieniem.



to mówiąc skreślił krzyżyk nad głowami pochylonych małżonków



— O nie, nie, dzięki Bogu że się inaczéj stało. Wierz mi, nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwą jak teraz.

— I ja także—odparła Zofia—zdaje się jakby nowy, nieznany świat otworzył się przed oczyma memi.

Lubo te słowa wyrzeczone były półgłosem, dosłyszała je matka i z niepojętą miłością spojrzała na córki.

— Dzięki ci Boże! pomyślała w duchu, Tyś złożył w ich serca świętą iskierkę prawdy która w mgnieniu oka rozpłonęła czystem światłem, niwecząc odrazu dwudziestoletni posiew złego.

Parę godzin jeszcze przeciągnęła się miła i poufała rozmowa. Zegar wreszcie uderzył dwunastą. Na ostatni jego dźwięk powstał major, zbliżył się do żony i uścisnął ją serdecznie.

— Czterdziesty raz już zaczynamy z sobą Nowy rok,—rzekł z głębokiem uczuciem—bodajby i ten ubiegł nam tak szczęśliwie, jak te które go poprzedziły.

— Na to hasło wszyscy powstali składając sobie wzajemne życzenia. Państwo Polescy uścisnęli się ze łzami.

— Niechaj nas Bóg wspiera na nowéj drodze—rzekł mąż—abyśmy jak najrychléj zagładzić mogli ślady dwudziestoletnich błędów.

— Niech łaska Jego najświętsza będzie z wami drogie dzieci—rzekł major biorąc ich oboje za ręce.—Przeszłość nie do was już należy, ale przyszłość otwarta przed wami. Zbierajcie wytrwale plon na téj niwie, nie zrażając się żadną przeciwnością, a miłość i szacunek dzieci, a zadowolenie własnego sumienia, będzie wam hojną za podjęte trudy zapłatą. Niech was Bóg błogosławi dzieci moje—to mówiąc skreślił krzyżyk nad głowami pochylonych małżonków.

Umilkł major, nastąpiła chwila głębokiéj ciszy, i zdało się jakby anioł przeleciał w powietrzu, niosąc do nieba gorące życzenia serc zacnych, i świętą połączonych miłością.

KONIEC.

